Cena 40 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

22 Listopad, 1936 r. Niedziela Nr. 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

Ks. ZYGMUNT KACZYŃSKI.

O naprawę obyczajów

„...Z serca wychodzą złe myśli, mężobójstwa, cudzołóstwa, porubstwa, kradzieże, fałszywe świadectwa, bluźnierstwa. Te są które plugawią człowieka".

Mat. 15, 19—20.

Powszechne staje się dziś wołanie o naprawę ustroju państwowego, o konieczności oparcia nawy państwowej o naród, o usunięcie bolączek i krzywd społecznych.

Wśród tych postulatów, mających na celu odrodzenie Rzeczypospolitej, nie może zabraknąć jednego: naprawy obyczajów i podniesienia poziomu moralności w społeczeństwie. Ze smutkiem bowiem musimy stwierdzić, że w Polsce panuje straszny upadek istotnych wartości i wzniosłych ideałów. Procesy o wszelkiego rodzaju nadużycia, o kradzież grosza publicznego, o zbrodnie, morderstwa i inne występki nie kończą się. Minister sprawiedliwości zmuszony był zapowiedzieć bezwzględną walkę z szerzącą się korupcją.

Sądzę, że same tylko środki represyjne nie pomogą i nie osiągną celu. Trzeba wprzód oczyścić atmosferę w państwie i stworzyć takie warunki, w którychby występek nie tak łatwo mógł się lęgnąć. Trzeba usunąć przedewszystkiem przyczyny zła.

Nie tak to jeszcze odległe czasy, kiedy to łamanie charakterów odbywało się zazwyczaj na drodze przekupstwa lub terroru. Ludzi niezależnych usiłowano niszczyć moralnie i materjalnie, pozbawiając ich stanowisk i pracy, spychając do roli parjasów.

Usiłowano zaszczepić tak obcy nam duchowo bizantynizm. Służalczość, o której powiedział Mickiewicz, że jest zasługą dla psa a dla człowieka grzechem, stała się niezbędnym warunkiem do uzyskania patentu na prawomyślność...

Obywateli podzielono na klasy: uprzywilejowanych, dla których jedynie stały się dostępne urzędy publiczne i synekury w zglajchszaltowanych przedsiębiorstwach, oraz zwykłych poddanych, którym wolno było tylko płacić podatki. W czasie gdy „elita" beztrosko bawiła się i używała, naród zmagał się w ciężkiej walce z codzień wzrastającym kryzysem i niedostatkiem.

Nic dziwnego, że w takich warunkach pleniło się siedem grzechów głównych, rozwijała się samowola i swawola, a u dołów tliło się zarzewie buntu i nienawiści. Głos skargi i słusznej krytyki był prewencyjnie tłumiony.

Już premjer Kościałkowski zrozumiał, że na tej drodze dalej brnąć nie można. Premjer Składkowski zainaugurował swe urzędowanie hasłem rozpoczęcia „życia surowego". Ministrowie Kwiatkowski, Grabowski, Świętosławski znaleźli się w obliczu konieczności naprawy spustoszeń.

Na czoło zagadnień wysunęły się sprawa obrony państwa i walki z elementami wywrotu, z komunistami i ich sprzymierzeńcami. Za temi stoją niemniej palące sprawy, oczekujące swego rozwiązania, a mianowicie, walka z kryzysem gospodarczym, kwestja zatrudnienia bezrobocznych, problem żydowski.

Najbardziej genjalny rząd nie upora się z temi bolączkami bez pomocy społeczeństwa. Od decyzji najwyższych czynników państwowych zależy stworzenie takich warunków, aby ta współpraca mogła zaistnieć i normalnie się odbywać. Należy zmienić polityczne kryterja obsady urzędów publicznych. Narodowi należy dać możność wypowiadania się w sprawach państwowych, możność decyzji ustawodawczej i prawo kontroli organów wykonawczych. Trzeba stworzyć pomost między administracją a społeczeństwem.

* * *

U podstaw niemocy Polski — jak to zaznaczyłem na wstępie — leży również upadek dobrych obyczajów. Bez nawrotu do zasad etyki Chrystusowej tak w życiu prywatnem, jak i publicznem, trudno się spodziewać odrodzenia Polski. Rządy pp. Świtalskiego, braci Jędrzejewiczów i Kozłowskiego dały się dobrze we znaki Kościołowi, zwłaszcza w dziedzinie szkolnictwa. Były usiłowania rozbicia jedności religijnej przez podsycanie sekciarstwa. Agitacja domorosłych bezbożników przygotowywała grunt komunizmowi.

A zatem i w dziedzinie religijno - moralnej należy naprawić te błędy, które przyczyniły się do utrudnienia misji Kościołowi w naszem społeczeństwie.

STEFAN GLASER.

Prawo a polityka

(Refleksje z ostatniego Zjazdu prawników).

„Żyjemy w czasach, w których prawo przechodzi „kryzys“." Jest to pogląd dzisiaj bardzo rozpowszechniony, i to nie tylko wśród szerokiego ogółu, ale również w świecie prawniczym. Czem się to tłumaczy, skąd to pochodzi i czy odpowiada rzeczywistości? Niewątpliwie, w niektórych państwach, w tych mianowicie, w których pod taką lub inną nazwą przywrócono lub wprowadzono ustrój absolutny, nastąpił jednocześnie przewrót w życiu prawnem. Poczęto tworzyć „nowe prawo“, przyjmując przytem za punkt wyjścia całkowite zerwanie z dotychczasowemi „przestarzałemi“ pojęciami liberalnemi, zasadami „liberalnego systemu prawnego“ czy też „przerostu liberalizmu“, a co z tem idzie, poświęcono jednostkę interesowi wszechpotęgi państwowej w rozumieniu takiej lub innej doktryny politycznej.

Czy uprawnia to atoli do uogólnień i twierdzenia, że dzisiaj prawo przeżywa kryzys? Bynajmniej. Przecież na szczęście nie wiele jest dotąd państw, tworzących to „nowe prawo“, większość, chociażby w samej Europie, hołduje wciąż jeszcze, i miejmy nadzieję hołdować nie przestanie ideom i zasadom prawa „przestarzałego“. Ale czy tworzenie tu i ówdzie t. zw. „nowego prawa“ jest czemś rzeczywiście nowem i trudnem do wytłumaczenia? Bynajmniej. Tendencje, przyświecające „nowemu prawu“ są zupełnie zrozumiałe na tle odnośnych ustrojów politycznych, i, jak historja poucza, zawsze towarzyszyły pracom nad reformą prawodawstwa tam, gdzie nastąpiły rządy absolutne. Życie polityczne bowiem wyciska swe piętno na całokształcie prawa, wszelkie ważniejsze przeobrażenia w tem życiu odzwierciadlają się w ukształtowaniu urządzeń i zasad prawnych. Odnosi się to w szczególności do prawa karnego, o którem słusznie się ktoś wyraził, że jest jakby negatywem fotograficznym, malującym dla historyka czy socjologa w sposób jasny stan współczesnej cywilizacji, budowę społeczną, potrzeby i ideały.

Absolutyzm, mniej lub bardziej oświecony, zawsze wypowiada zdecydowaną walkę prawu w jego właściwem znaczeniu, prawidłom, *quae in lege naturae continentur*, prawo bowiem z istoty swej służy wolności i stoi na jej straży, a absolutyzm wolności nie znosi. Już Windscheid powiedział: „Najwyższe zadania ludzkości mogą być urzeczywistnione jedynie dzięki swobodnemu rozwinięciu sił i zdolności; atoli o tej swobodzie nie mogłoby być mowy bez prawa. Prawo jest więc tem, co przygotowuje grunt wszelkiej ludzkiej kulturze“.

Otóż takiemu prawu absolutyzm wypowiada walkę i w jego miejsce stara się wprowadzić inne, „nowe“ prawo, które w rzeczywistości nic z istotą prawa nie ma wspólnego, jest wręcz jego zaprzeczeniem. Wolę despoty, uważającego siebie za uosobienie państwa, przyobleka się w formę prawa, którego zadaniem przestaje być odtąd urządzenie podstawy społecznego współżycia, a dzięki temu umożliwienie i popieranie rozwoju kultury: jedynem zadaniem tego prawa ma być realizacja interesów władzy, względnie kliki rządzącej, chociażby miało się to odbyć z pogwałceniem najistotniejszych interesów jednostki i narodu. Miejsce interesu jednostki zajmuje inny interes, zwany eufemicznie interesem „wspólnoty“.

A więc w prawie karnem niweczy się kardynalną, z idei słuszności wypływającą zasadę, że niema przestępstwa i niema kary bez ustawy (nullum crimen, nulla poena sine lege), zasadę stanowiącą palladium swobód obywatelskich, poczytywaną słusznie za „magna charta“ nie tylko przestępcy ale i nieprzestępcy, sędziego uwalnia się z pod „absolutyzmu“ ustawy, wynosi się go ponad ustawę, ale jednocześnie pozbawia się go niezależności i w ten sposób czyni zeń powolne narzędzie władzy w walce politycznej. Cały aparat wymiaru sprawiedliwości „upraszcza się“ i „przyśpiesza“, nie bacząc na to, że w ten sposób czyni się zeń urządzenie służące wręcz odmiennym, z nazwą swą sprzecznym celom. Celem kary przestaje być poprawa przestępcy, ba, co więcej, wysuwa się jako naczelną zasadę, że przestępcę należy nie zwalczać, lecz niszczyć. I dzisiaj jest rzeczą niewątpliwą, że wszędzie tam, gdzie następuje „reforma“ prawa w duchu „nowego prawa“, odbywa się faktycznie powrót do tych stosunków i warunków pieczy prawno - karnej, od których, jak się zdawało, uwolnił ludzkość raz na zawsze okres oświecenia: do omnipotencji władzy, do całkowitego zniszczenia wolności indywidualnej.

Niestety te tendencje przejawiają się ostatnio i u nas, chociaż na szczęście nie wielu mają zwolenników. Wyraziły się one również na ostatnim zjeździe prawników w przemówieniach i dyskusjach nad różnemi zagadnieniami, w szczególności zaś w sekcji prawa państwowego i karnego. Przypomniano o tem, że rok 1789 został wyparty z historji, że deklaracja praw człowieka i obywatela przestała istnieć, potępiono „przerost liberalizmu“, domagając się przyśpieszenia i pod wielu względami uproszczenia wymiaru sprawiedliwości, — a to wszystko w imię interesu „wspólnoty“, w imię interesu państwa. Tu i ówdzie dały się słyszeć głosy, że jedynem zadaniem i powołaniem prawa, to służba tym interesom, że prawo to faktycznie tylko polityka.

Wypowiadając takie i podobne poglądy zapomina się o jednym, zasadniczym: że prawo tylko wówczas stanie się instytucją pożytku społecznego, gdy będzie odpowiadało poczuciu prawa i sprawiedliwości, tkwiącemu w świadomości prawnej narodu, gdy w tej świadomości znajdzie należyty oddźwięk i zrozumienie. Jak słusznie wyraził się jeden z uczonych niemieckich w okresie „przestarzałego“ prawa, prawo nie może usprawiedliwić i uzasadnić z własnej mocy przymusu, który wywiera. Nie potrafi nigdy przekonać o swem uprawnieniu i obowiązującym charakterze tego, kto zmuszony jest ze zgrzytaniem zębów poddać się jego mocy. Prawo, by mogło spełnić swe zadanie, zapewnić pokojowe współżycie między ludźmi, umożliwić osiągnięcie celów kulturalnego ludzkiego życia, *a tem samem przynieść pożytek państwu*, musi posiadać dostojeństwo moralne, źródłem jego musi być moc moralna, musi recypować prawidła quae in lege naturae continentur, używając słów św. Tomasza. Inaczej nie zdobędzie nigdy dla siebie poszanowania, choć może zdobyć chwilowy posłuch, nie będzie urządzeniem pożytku społecznego, a stanie się narzędziem terroru, czerpiącem swą siłę jedynie z przemocy.

I dlatego też jeden z wielkich prawników polskich, Władysław Leopold Jaworski, u schyłku swego żywota przestrzegał państwo, któreby chciało „zabić wolność dla prawa“. On też streścił swoje credo w następujących, głębię myśli politycznej oddających słowach: „Jestem zdania, że prawem, to znaczy przymusem, nie można utrzymać państwa. Spoidłem zasadniczem jest to, co nazywamy *miłością*, tego jednak żadna norma prawna ująć nie potrafi. Ale obywatele państwa muszą mieć świadomość, że to, co ich utrzymuje w związku państwowym, nie jest tylko przymusem, muszą mieć conajmniej tę świadomość, że owo niewyrażalne, nie dające się skodyfikować spoidło, nie jest wykluczonem, co więcej, że nie może być wykluczone... *Gdy spoidłem tem jest miłość, a chrześcijaństwo jest miłością*, przeto w moim projekcie Konstytucji dla państwa polskiego, powiedziałem, że Prezydent Rzeczypospolitej kierować się ma przy wykonywaniu swej władzy *moralnością chrześcijańską*, i że w tem nie może być żadną normą ograniczony“.

Raptularz tygodniowy

(OPOZYCJA NA NIBY — NIECO DEGENERACJI — NOWE ODKRYCIE — ARTYKUŁ PIASTA.

Prasa rządowa na obu swych skrzydłach robi ruch i lubuje się w przepowiadaniu wydarzeń a raczej „posunięć”, które nastąpić mają; naturalnie nigdy nie następują i nic prócz „głosów prasy” nie pozostaje. Jest to jednak ulubiony w niektórych ustrojach stimulans na opinię publiczną, malutkie otwarcie wentyla. Po pewnym czasie wentyl się zamyka i jedziemy dalej. Ci słabo, lub całkiem niepoinformowani ludzie, nieraz z dobrą wiarą roztrząsają możliwości jakiejś akcji czy reform. Usprawiedliwia to w ich własnych oczach—poza innemi bardziej jeszcze konkretnymi motywami — popieranie rządu tak jak go sobie wyobrażają. I tak z jednej strony organy konserwatystów a z drugiej strony organy lewicy społecznej, w rodzaju czasopism b. ministra Moraczewskiego, drepcą w kole swych przepowiedni i nadziei całkowicie różnych między sobą, ale bezwątpienia ściśle identycznych, jeśli chodzi o stopień realności jednych i drugich. Politycy ci, z których niejeden przekroczył przecież lat swoich południe, powinni sobie raz wreszcie uświadomić, że nie w tem rzecz, co zdołają w pismach przez siebie wydawanych napisać, ale w tem, czy zdołają wewnątrz obozu, którego organiczną częścią byli, swoich poglądów bronić i ewentualnie choćby część ich narzucić. W ustroju, który nas Polaków dzisiaj obowiązuje, akcja prasowa, jakkolwiek nie straciła jeszcze całego swego znaczenia, nie jest ani jedyną ani najważniejszą formą akcji, której użyć winien polityk realny. A ci politycy na obu skrzydłach, którzy niby to się różnią od rozstrzygającego centrum, nie próbowali nigdy oddziałać skutecznie na zmianę sytuacji, lecz usiłują wykręcić się od odpowiedzialności, która na nich spada, przez delikatne i stuprocentowo platoniczne artykuły. Jeśli więc dzisiaj „Czas” występuje za reformą ordynacji wyborczej, to musimy uznać to za grubo spóźniony wyrzut sumienia. „Czas” akceptował niedawno rządowy projekt ordynacji wyborczej, jego opiekunowie i wydawcy głosowali za nią w sejmie brzeskim, dali się wybrać do sejmu i senatu na jej podstawie i — żal przychodzi po

szkodzie. Naturalnie, że chcąc innego sejmu i prawdziwych wyborów, należy zmienić ordynację wyborczą, ale jej współtwórcy powinni znaleźć drogi i sposoby bardziej istotnego przeciwstawienia się szkodom, wynikłym ze zniwelowania parlamentaryzmu, aniżeli artykuł w tym samym dzienniku, który ją niedawno temu popierał. To samo odnosi się do obrońcy ruchu robotniczego ministra Moraczewskiego. Jego pisemko bardzo ubolewa nad losem robotników, nad ciężkiemi warunkami pracy. I apeluje do solidarności, do tworzenia wspólnego frontu. Więc po to rozbił naprzód P. P. S. a później Związki Zawodowe, aby obecnie rozpaczliwie występować w obronie czegoś, co sam zniszczył?

Zmianę poglądów uważamy za zjawisko pozytywne, gdy dokonywa się jej po męsku w pełnem świetle dnia. Rozumiemy, że w Polsce takiemu procesowi podlegają dzisiaj nie tylko jednostki, ale całe grupy. Dywersja na skrzydłach nikomu pożytku nie przyniesie. Co zaś naprawdę uczynić należy — jeśli wola po temu — zainteresowani wiedzą najlepiej.

* *

W Łodzi podczas wyborów samorządowych wyborcy prorządowi nie uzyskali ani jednego mandatu, głosowali na kilka list. Ta taktyka pseudonimowa nie mogła zadowolić władz centralnych. Dlatego w Poznaniu, gdzie za kilka tygodni odbędą się także wybory do Rady Miejskiej, tworzy się ad hoc organizacja polityczna bardziej wyraźna i bardziej jednolita. Organizatorzy jednak obawiają się, że w ostatnim momencie zarysuje się na horyzoncie jakiś niespodziewany kompromis, który może ich całkowicie sparaliżować. Według pewnych poszlak część dotychczasowej większości prowadzi rozmowy i t. d. Byłby to więc kurs porozumiewawczy, który jednak nie obowiązuje na wsi nawet pod Poznaniem, tam zasada silnej ręki stosowana jest tak samo, jak w hrubieszowskiem, tarnowskiem i wszędzie indziej, gdzie są sami chłopi.

Tam doczekaliśmy się powrotu złotej ery macherów, których mowy jakby nagrane na stillu pod dozorem zwierzchności nikogo nie dziwią a chwyty znane są nawet babom, nie mówiąc o biednych pokornych sołtysach, co to „furmankę dla pana posła" szykować muszą. Rajem tej ekipy jest Białostocczyzna. Dlaczego? Może kiedyś omówimy to obszerniej. Ale na razie... Przed kilku dniami wyszła książka pana Wańkowicza, nie podejrzanego o nic politycznie zdrożnego, wręcz przeciwnie. Jadąc do Prus Wschodnich pisze: „A ziemia Białostocka, krewna ziemia, zamknięta jest w siąpie małomiasteczkowości, w którym zda się czujesz butwiejące białostockie sukno. Nie ujrzysz na niej łapci, nie ujrzysz samodziału, łykowych kobiał. Ale i nie ujrzysz gazety, książki, teatru. Biedna ziemia, w pobliżu centrów położona, odeszła i niedoszła, zamurowana, ślepa... Życie społeczne było w nich najsłabsze, udział w powstaniu wiele mniejszy. Sprawiały wrażenie zamkniętych i nieprzewietrzonych". (Wańkowicz: Na tropach Smętka, str. 26), pisane przed dwoma laty, więc czysty przypadek, ale przypadek znaczący.

Zaczęto zbiórkę na pomoc zimową, powstały znowu typowe urzędowe i półurzędowe komitety, a główne biuro wydaje komunikaty przypominające, że zbiórka jest wprawdzie dobrowolną, trzeba jednak pilnować się stawek uchwalonych przez komitet stołeczny. Wychodzi więc znowu na to, że pomoc zimowa będzie nowym podatkiem ściągniętym z tych, którzy mają stały dochód, ponadto wieś dostarczy produktów, a tak, jak w tylu innych wypadkach, nawet próby inicjatywy społecznej nie będzie. Uważamy to za błąd poważny i uczyniony wbrew wielokrotnym zapowiedziom, wbrew oczywistemu interesowi społecznemu.

Do serji sanacyjnych odkryć, poczynionych w ostatnich czasach, należy także „nieudany eksperyment" na Wołyniu. „Kurjer Poranny", a więc pismo, reprezentujące rządowe stanowisko, pisze o nieudanej polityce wojewody Józewskiego w słowach najostrzejszej krytyki. „Polityka nasza na Wołyniu — pisze Kurjer Poranny — operuje wielu fikcjami, które zaciemniają i przesłaniają obraz rzeczywistości. I to jest jej największe niebezpieczeństwo: rozbieżność między pozorami a rzeczywistością. Brak jej szczerości a nieszczerość poczynań jest w rządzeniu największą słabością". Do tego trudno istotnie coś dodać. Uważamy ostatnie ośm lat na Wołyniu poprostu za małą przerwę w umacnianiu prawdziwej racji stanu przy pomocy społeczeństwa polskiego na Wołyniu, tego społeczeństwa, które dyletantyzm i arbitralność administracji politycznej usunęła całkowicie od wpływu na bieg wypadków. Wieczne rozruchy, niepokoje i awantury tajone przed opinją reszty kraju, to był niewłaściwy i lekkomyślny refleks rzucany na Wołyń. Nie przeszkadzało to tworzyć różnych fikcyjnych organizacyj, wybierać „jednomyślnie" posłów i senatorów i pławić się w depeszach i wyrazach uznania. Malutka potiemkinada na użytek paru ludzi. Nie pierwsza i nie ostatnia.

„Piast" pisze o podstawach wolności i sprawiedliwości społecznej, — używając najtrafniejszych argumentów:

„Droga, która wiedzie do zespolenia społeczeństwa w tak wielkiej i ciężkiej chwili, w jakiej dziś żyjemy, to zupełna likwidacja emigracji politycznej. Tego domaga się cały naród. Nie trzeba powoływać się na obrażone prawo, bo ileż to razy w Polsce w ostatnich dziesięciu latach to właśnie święte prawo łamano i podważano sprawiedliwość? Mówił o tem dość dosadnie pan minister Grabowski na zjeździe prawników w Katowicach. O tem mówi i mówić będzie historia ostatnich lat. Wróćmy do prawa i sprawiedliwości, a wtedy nie będzie ani emigracji politycznej, jak jej w Polsce niepodległej nigdy jeszcze nie było. Nie będzie trzeba ani Brześcia, ani Berezy. Naród bowiem, który pragnie żyć i rozwijać się, naród, który sam kierować będzie sobą, naród światłych obywateli zrozumie, że państwo to obywatele, a obywatele to państwo. Około takiej idei państwowej zjednoczy się cały naród, a wtedy Polska, która dzieciom swym da wszystko, co dać może, t. zn. wolność i sprawiedliwość społeczną, czekać może ze spokojem na największą nawet burzę dziejową, która przecież zawsze wisi i wisieć będzie nad nią, dopóki świat nie wyjdzie z chaosu i głupoty".

Tot.

W. NIENASKI.

Zwrot?

Wizyta p. min. Becka w Londynie była przedewszystkiem sukcesem prestiżowym. Nie przeceniamy znaczenia takich sukcesów, ale nie trzeba też ich niedoceniać. Zwłaszcza, że sukces to nie osobisty i nie pewnej polityki. Sukces odniosła Polska w osobie swego ministra spraw zagranicznych, a odniosła go dzięki swemu położeniu geograficznemu i dzięki stanowisku społeczeństwa, które nie poszło w myśl życzeń ministra spraw zagranicznych i grupy politycznej, której jest filarem. W Londynie fetowano Polskę, która potrafiła oprzeć się zwycięsko naporowi komunizmu z jednej, a faszyzmu z drugiej strony, która nie dała się zaprząc do rydwanu polityki niemieckiej i nie złączyła swej polityki z zarysowującym się coraz wyraźniej blokiem państw faszystowskich. Stało się tak dzięki zdrowemu instynktowi narodu polskiego, który nie pozwolił narzucić sobie ustroju faszystowskiego i nadal opiera się zwycięsko próbom monopartji i dyktatury i nie dał się zaprowadzić do obozu niemieckiego. Gdyby grupa pułkownikowska, do której wybitnych przywódców należy p. pułk. Beck, mogła była urządzić Polskę według swoich planów, gdyby sam p. min. Beck mógł był pokierować polityką zagraniczną państwa według swoich intencyj, nie byłoby zaproszenia do Londynu i nie byłoby prestiżowego sukcesu. Zdrowy instynkt narodu polskiego ocalił przynajmniej pozory demokracji w polityce wewnętrznej i zmusił politykę zagraniczną do powrotu na drogę wiodącą do Paryża i Londynu. Ironja losu chciała, że p. min. Beck największy swój dotychczasowy sukces prestiżowy zawdzięcza — niepowodzeniu swojej polityki.

* *

Oprócz sukcesu prestiżowego przywiózł p. min. Beck z Londynu zgodę Anglji na uwzględnienie słusznych interesów Polski przy rokowaniach, związanych z proponowanym paktem zachodnim. Nie jest to określenie, zaczerpnięte z oficjalnego komunikatu Foreign Office, bardzo jasne. Nie wiemy, co w Londynie uznano za „słuszne interesy" i w jaki sposób mają one być uwzględnione. Jako wyjaśnienie może służyć rozmowa z p. min. Beckiem korespondenta krakowskiego „Ilustrowanego Kurjera Codziennego", ogłoszona w nr. 317 z dn. 14 listopada. Nigdzie dotąd nie spotkaliśmy sprostowania tej rozmowy. Może więc być uważana za komentarz autentyczny.

Według tej rozmowy „dyplomacja polska nie chce powtarzać błędów przeszłości, nie chce dopuścić do tego, aby interesy Rzeczypospolitej zostały pominięte, jak to zaszło przy negocjowanych i zawartych układach locarneńskich z r. 1925. A ponieważ Polska ma uregulowane stosunki z dwoma państwami, które będą partnerami nowego Locarna, z Francją i Niemcami", przeto „chodzi o to, aby zarówno sojusz polsko - francuski, jak i układ z Niemcami, zostały formalnie uznane przez Locarno Nr. II i aby ewentualny pakt zachodni w niczem nie pomniejszał wartości tych zobowiązań międzynarodowych".

Przecieramy oczy. Wszak to właśnie w układach locarneńskich Nr. I z 1925 r. uznano formalnie sojusz polsko - francuski (i czechosłowacko - francuski) i w niczem nie pomniejszono jego wartości. Stało się to w „Procès-verbal de clôture", podpisanym przez wszystkich uczestników narad, którzy przyjęli do wiadomości fakt zawarcia tych sojuszów, których teksty postawiono im do dyspozycji. A odpowiednik ówczesny układu z Niemcami, konwencja arbitrażowa pomiędzy Polską a Niemcami, stanowi część składową układu locarneńskiego na równi z paktem reńskim. Gdzież tu więc „naprawienie błędów", o którem doniosła „Iskra"? I co tu mówić, jak w cytowanej rozmowie korespondenta I. K. C. o tem, że „Polska jako mocarstwo nie mogła tego uczynić drogą pośrednią, jak to uczyniono przed laty"! Przed laty Polska uczestniczyła bezpośrednio w układach locarneńskich. Obecnie nic nam nie wiadomo o zaproszeniu Polski do narad. I z komunikatu londyńskiego wcale nie wynika, aby zaproszenie takie miało nastąpić.

Jeżeli w komentarzu do komunikatu Foreign Office, który stanowi rozmowa p. min. Becka z korespondentem I. K. C., jest coś nowego, to jest tem chyba tylko postawienie narówni sojuszu polsko - francuskiego i umowy polsko - niemieckiej. Dotychczas sądziliśmy, że układ v. Neurath — Lipski jest odpowiednikiem paktu o nieagresji z Rosją sowiecką. I oczekiwalibyśmy raczej, że oba te pakty zostaną uwzględnione w nowem Locarno na równi. Natomiast sojusz polsko-francuski i sojusz polsko-rumuński są czemś nieskończenie więcej, niż tamte dwa pakty o nieagresji. Jeśli więc komentarz w I. K. C. nie jest próbą przemycenia układu polsko-niemieckiego, jako równoznacznego z sojuszem polsko - francuskim, do przyszłego układu locarneńskiego, przeciw czemu opinja polska musiałaby gorąco zaprotestować, to jest co najmniej niezręcznością. Wątpimy, aby takie postawienie sprawy mogło zrobić dobre wrażenie czy to w Paryżu czy w Londynie.

A z tem wszystkiem musimy uznać komunikat londyński za poważny sukces. Do tego bowiem doprowadziła nas polityka naszego

M. S. Z., że już nawet powrót do dawnego Locarna, przez opinję publiczną zgodnie uznanego za zupełnie dla interesów polskich niewystarczające, jest sukcesem. Smutny to sukces. Musimy cieszyć się dziś z tego, czem martwiliśmy się w r. 1925. Ale wszak jeszcze niedawno słyszeliśmy, że zerwanie Locarna interesuje tylko państwa zachodnie, a Polska zupełnie nie jest w nim zainteresowana. Oświadczył to oficjalnie p. min. Beck na posiedzeniu Rady Ligi Narodów. Zachodziła obawa, że interesy polskie wogóle nie będą wzięte pod uwagę. Postęp jest więc widoczny. I słusznie mówi się o naprawianiu błędów. Tylko tymczasem jeszcze dotyczyć to może nie tych błędów z przed jedenastu lat, ale własnych błędów p. min. Becka po zerwaniu Locarna przez Niemcy. Chcemy mieć nadzieję, że na tem się nie skończy i że istotnie uda się naprawić i te dawne błędy locarneńskie. Polegały one nie na tem, że umniejszono znaczenie sojuszu polsko - francuskiego, bo ten raczej wyszedł z Locarna wzmocniony, ale na tem, że zabrakło dla granic na wschodzie tych gwarancyj, które uzyskały granice na zachodzie, gwarancyj angielskich i włoskich. Na drodze, na którą wszedł p. min. Beck w Londynie, może z czasem i to uda się uzyskać. Trzeba jednak do tego, aby zwrot w polityce polskiej, który zaszedł w Londynie, był trwały istotnie i szczery. I aby polityka polska umiała zręcznie z niego skorzystać. Niestety, w przeszłości mało znajdujemy danych, aby patrzeć na to z optymizmem. I w szczerość zwrotu londyńskiego jakoś nie bardzo możemy uwierzyć.

*
* *

Tu dochodzimy do sedna rzeczy. Ani bowiem sukces prestiżowy, ani nawet uzyskanie zgody Anglji na uwzględnienie w przyszłem Locarno słusznych interesów Polski nie są dla nas najważniejszym wynikiem wizyty londyńskiej. Najważniejszy jest dla nas końcowy ustęp komunikatu Foreign Office, który zawiera jakby wyznanie wiary politycznej obu stron. Stanowi ono przyłączenie się bez zastrzeżeń p. min. Becka do tez angielskich. Głosi ten komunikat że „współpraca międzynarodowa najkorzystniej może być utrzymana w ramach Ligi Narodów" i że „nic nie byłoby bardziej zgubne dla nadziei pacyfikacji Europy, jak podział Europy widoczny i wyraźny na przeciwstawne sobie bloki".

Uznanie Ligi Narodów za podstawę współpracy międzynarodowej jest ze strony p. min. Becka nowością. Dotychczas byliśmy przyzwyczajeni do lekceważenia instytucji genewskiej w słowie i w czynie. W słowie mniej lub więcej autoryzowanych komentatorów mglistej polityki naszej ulicy Wierzbowej, a w czynie choćby przy jednostronnem wypowiedzeniu traktatów mniejszościowych, skądinąd zresztą słusznem i korzystnem, ale uczynionem w formie, wzorowanej raczej na niemieckich faktach dokonanych, niż na pełnem szacunku dla prawa postępowaniu np. Wielkiej Brytanji. I przez Ligę jednomyślnie potępionej. Jeszcze większą nowością jest uznanie szeregu konsekwencyj, które z takiej roli Ligi Narodów wynikają. Liga Narodów, to zasada bezpieczeństwa zbiorowego i pokoju niepodzielnego. Zasady wręcz przeciwne do tych, które głoszą Niemcy i Włochy i ku którym zdawał się skłaniać p. min. Beck. I znów nie tylko słowem, ale i czynem, zawierając z Niemcami pakt dwustronny, wskazywany przez Niemcy jako model załatwiania spraw według ich metody i pomagając im wszystkiemi siłami w rozbijaniu paktów regjonalnych, proponowanych przez Francję i zalecanych przez Anglję.

Przeciwstawienie się podziałowi Europy na dwa przeciwstawne bloki jest natomiast wyraźnem odcięciem się od bloku, formowanego przez Niemcy i Włochy. Po mowach norymberskich i po medjolańskiej mowie Mussoliniego nabiera ono specjalnego smaku. Nikt nigdy nie podejrzewał Polski o chęć przyłączenia się do bloku komunistycznego pod patronatem Rosji sowieckiej. Ale były, tu obawy a tam nadzieje, że Polska przystąpić może do bloku państw faszystowskich, organizowanego przez Niemcy i Włochy. Oświadczenie londyńskie kładzie temu kres. Rola Polski określa ono zgodnie z tym pokojowym programem, który nakreśliliśmy na tem miejscu w artykule „Między wschodem i zachodem", uważając go za najbardziej odpowiadający Polsce na czas pokoju i w nadziei, że pokój będzie utrzymany.

Jest istotnie wiele powodów, dla których taki zwrot w polskiej polityce oficjalnej byłby zupełnie usprawiedliwiony. Najważniejszym z nich jest coraz wyraźniejsze bankructwo polityki współpracy z Niemcami, wynikające z powrotu Niemiec do „małego" programu politycznego, w istocie swej antypolskiego. Bardzo ważna to sprawa. Wrócimy do niej w następnym artykule. Tu ograniczymy się krótko do przypomnienia sprawy Gdańska i stanowczego dążenia Niemiec do oddzielenia od sprawy bezpieczeństwa na zachodzie nie tylko Rosji sowieckiej, ale także Polski. Obie te sprawy nie mieszczą się w „wielkim" programie Niemiec, programie krucjaty na wschód, z którego wynikło porozumienie z Polską. Ale właśnie są objawem powrotu na drogę załatwiania spraw małych, do których według polityków niemieckich należy i Gdańsk, i „korytarz" pomorski i Górny Śląsk i które wymagają odseparowania Polski od zachodu.

Nie wykluczamy przeto możliwości szczerego dokonania się zwrotu w polskiej polityce oficjalnej w kierunku, który określił komunikat londyński, a który jest kierunkiem nie tylko na Londyn, ale przedewszystkiem na Paryż. Ze zwrotu takiego musiałby jednak wyniknąć szereg następstw, zarówno natury zagraniczno - politycznej, jak wewnętrznej, jak nawet i personalnej. Zaczekać tedy trzeba na skutki deklaracji londyńskiej. I według nich ostatecznie ją ocenić.

Bo na zasadzie dotychczasowych doświadczeń nie można, niestety, wykluczyć, że mamy tu do czynienia tylko z taktycznem posunięciem „konjunkturalnej" polityki, a raczej gry politycznej, o której wiadomo, że czasem bywa i fałszywa. Przed tem musielibyśmy jaknajbardziej przestrzec. Anglja jest znakomitym partnerem każdej gry uczciwej, fair play. Ale polityczny poker nie znajduje uznania nad Tamizą. I bardzo, bardzo trudno byłoby już wrócić do Londynu, gdyby się okazało, że jasne deklaracje nie były tak jasno pomyślane.

Wyjaśnienie przyniesie ciąg dalszy. Za słowami muszą pójść czyny. Od nich zależeć będzie, czy uznać wypadnie wizytę londyńską za Canossę polskiej polityki oficjalnej, czy tylko za taktyczne pociągnięcie sprytnego gracza. Od tego zależy bardzo wiele.

S k a n d a l!

The Times z dn. 10 b. m. podał następującą korespondencję z Polski:

P r z y w ó d c a c h ł o p ó w.

Otoczenie zmarłego marszałka Piłsudskiego, które obecnie rządzi Polską, miało do wyboru albo powrót do „czynnika decydującego", albo powrót do bardziej liberalnej formy rządów. Najbardziej neutralni, lecz przychylni obserwatorzy, mający bliski kontakt ze współczesną historją Polski, napewno powitaliby z zadowoleniem powrót liberalizmu w Polsce, gdyby Polska nie dzieliła Rosji sowieckiej od nacjonal. - socjalistycznej Rzeszy i gdyby czasy pozwalały na eksperymenty polityczne. Lecz ci sami obserwatorzy zdają sobie sprawę, że próba powrotu do bardziej liberalnej formy rządzenia zwyrodniałaby szybko w walkę o władzę między rozbieżnemi siłami politycznemi, — *subsydjowanemi niewątpliwie przez obce mocarstwa,* — a znajdującemi się obecnie pod kontrolą. Gdyby doświadczenia w Hiszpanji nie były tak dotkliwe, istniałaby podstawa do nadziei, że rząd „zrobiłby dobrą robotę" w stosunku do chłopów, pozwalając na powrót do kraju Witosowi, — ich przywódcy, który w 1930 r. uciekł przed wymiarem sprawiedliwości. Lecz nawet najbardziej przekonani zwolennicy liberalnej demokracji wzdrygnęliby się wobec perspektywy, że Polska mogłaby się stać terenem walk bratobójczych w tak wysoko napiętej atmosferze międzynarodowej.

A więc, po pierwsze, tylko kontrola uniemożliwia zdradę i przekupstwa partjom politycznym polskim i, po drugie, powrót Witosa to perspektywa walk bratobójczych. Tak ohydnej napaści chyba jeszcze nie czytano w wielkim dzienniku Anglji.

Pomijamy domysły, kto i dlaczego podsunął korespondentowi angielskiemu powyższe plugastwa. Pomijamy także rozważania, że na takiej drodze nie zdobywa się sympatji i szacunku obcego narodu bez względu na oficjalne porozumienia. Natomiast sądzimy, że wywoła to reakcję uczciwej prasy polskiej, a także narady prezydjów partyj politycznych ze znawcami prawa karnego w Anglji.

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

Henryk Sienkiewicz

(20-lecie zgonu).

Gdyby nie dawno obalonym absurdem było twierdzenie materjalistyczne, że człowiek jest produktem swojej epoki, to możnaby to było powiedzieć w pewnym sensie o Sienkiewiczu. W jego twórczości naród odnalazł to, do czego wówczas namiętnie tęsknił: bohaterstwo. Pozytywizm miał wielkie zasługi, ale nie posiadał pierwiastka, o którego braku Ewangelja powiada: „Nie samym chlebem człowiek żyje..."

Tak, jak wżył się Sienkiewicz w ducha narodu, nie wżył się przed nim, ani po nim, żaden chyba pisarz. Jeden Mickiewicz tylko — ale tu działały zdroje poezji, płynące z najtajniejszych głębi narodowego jestestwa. Sienkiewicz, choć prozator, dokazał podobnego cudu. Bohaterowie jego żyją pośród nas i w nas, są niegasnącą cząstką naszego istnienia. Świat zna i wielbi autora „Quo Vadis", laureata Nobla; dla nas Sienkiewicz jest przedewszystkiem twórcą „Trylogji", „Krzyżaków" i tych przedziwnie celowych targnięć narodową ambicją, jakiemi są „Bartek zwycięzca", „Pamiętnik poznańskiego nauczyciela", „Latarnik". Te, a nie inne, choćby najpiękniejsze, jego dzieła sprawiły, że uznano go bezspornie za hetmana dusz.

Sienkiewicz znał swoją władzę i pojmował płynącą stąd odpowiedzialność. Nie nadużył tego nigdy, ani dla własnych celów, ani dla

zdawkowych korzyści. Umiał wybuchnąć słowem, jak piorun, ale umiał też zmilczeć i przeczekać. Rząd bowiem wymaga kapłańskiej powagi w słowie i rozwagi w czynie.

W tem świetle — jakże marne wydają nam się sugestje pięknoduchów literackich, pobłażliwie szukających podobieństw między Sienkiewiczem a Dumasem! Powiadają: faktura. Nieprawda. Różnica, jak między dębem a dębiną. Powiadają: trzech bohaterów i czwarty na dodatek. Prawda. Ale co z tego? Czy Dumas chociaż przez chwilę pisał „dla pokrzepienia serc"? I czy ktokolwiek brałby imiona którego z trzech muszkieterów, idąc w bezimienny bój za ojczyznę, podobnie, jak imiona bohaterów „Trylogji" brali w roku 1914 legjoniści?

Ludzie, nie bądźcie snobami! Roiło się w legjonach od Kmiciców, Podbipiętów, a nawet Zagłobów. Przeprowadzona kiedyś statystyka wykazała, że dla ogromnego procentu tych młodych ochotników, Sienkiewicz był duchowym od dziecka patronem. I jakże kto śmie porównywać. To wielki i święty patronat, godzien najgłębszej, najwdzięczniejszej pamięci — patronat zaiste hetmański.

Jakże marne są również spory, z takim hałasem podejmowane, o rzekomą nie-polskość Skrzetuskiego, o liczebność hufców polskich i nieprzyjacielskich w „Ogniem i mieczem" czy „Potopie"! Poco to i naco? Chyba, żeby wykazać erudycję tych, których (gdyby się chcieli przyznać) napewno nikt inny, jak właśnie Sienkiewicz, myślą historyczną zapłodnił. Cała rzecz przypomina dyskurs w dwóch różnych językach, prowadzony przez ludzi, nierozumiejących się wzajemnie. Czemu w tej całej akcji rewizjonistycznej używa się wogóle nazwiska Sienkiewicza? Gdyby nawet Sienkiewicz stworzył był fikcję, czy to pomniejsza wartości moralne — męstwo, honor, miłość ojczyzny — które z jego bohaterów promieniują na naród?

Ani jedno słowo Sienkiewicza nie bywało rzucane na wiatr, ani jedno nie szło na marne. Żyła w nim wieczna troska o posłannictwo pisarskie, jakie spełniał, ciągłe poczucie odpowiedzialności za jakość twórczości. Potwierdziła się w nim raz jeszcze teza, że utalentowanych pisarzy może być wielu — wielkim pisarzem staje się tylko ten, którego jest za co pamiętać. Nie fraszka, nie egotyzm, choćby najestetyczniejszy, daje tytuł do sławy i samą sławę. Trzeba zamknąć w sobie uczucia miljonów, jeżeli się chce, aby miljony znały, pamiętały i kochały. Sienkiewicz żył Polską; w polskiej przeszłości szukał odczynnika na polską rzeczywistość. Nie było Polaka, któryby tego nie rozumiał. A pewno i nie będzie, kiedy wrócimy wreszcie do równowagi życia narodowego, kiedy białe znów będzie białem, a czarne — czarnem.

Przedziwny był instynkt Sienkiewicza, kiedy chodziło o ustalenie, co jest dla Polski szkodliwe i kto jest wrogiem Polski. Nie mówimy tu o instynkcie w znaczeniu niższem, nieświadomem; pogląd ten płynął niewątpliwie z głęboko obmyślonych przesłanek, ale też i nie chybiał nigdy. Widocznie miłość dla Polski, przepajająca jego jestestwo, była mu pochodnią przewodnią. Znamienny pod tym względem był stosunek Sienkiewicza do Niemców. Mówiąc słowami Żeromskiego, każdy rozdział „Krzyżaków" wart jest tyle w naszej odwiecznej walce z germańskiem plemieniem, co „tęgi bataljon piechoty". Daj Boże, aby rewizjonizm, któryby tu mógł działać naprawdę *pour le roi de Prusse*, nie zechciał wtrącić swoich trzech groszy! Jakie to jednak ciekawe: Mickiewicz i Sienkiewicz... Obydwaj nie mieli żadnych wątpliwości, kiedy mówili o prastarym wrogu słowiańskich narodów.

Nie wszyscy znają pewien osobliwy fakt. Żył gdzieś, na Śląsku Opolskim czy Wrocławskim, zniemczony od pokoleń pan von Olszewski. Przeczytał „Krzyżaków" — i doznał olśnienia. Przeczytał inne dzieła Sienkiewicza — i wróciła mu łaska świadomości plemiennej. Napisał do Sienkiewicza list, oświadczając, że pod jego wpływem stał się Polakiem. Że od dzieci swoich żąda tego samego, a o ile warunków postawionych nie spełnią — fortunę zapisuje Sienkiewiczowi.

Wielki pisarz odmówił. Pan von Olszewski umarł po roku w Szwajcarji i jednak testament zapowiedziany sporządził. Wówczas Sienkiewicz, z właściwym mu umiarem i poczuciem sprawiedliwości, wszedł w układ z dziećmi testatora, redukując dobrowolnie spadek do pewnej sumy, którą na rzecz oświaty narodowej przeznaczył. Ale i ta suma miała być wypłacona dopiero, jeżeliby dzieci warunków testamentu nie spełniły.

Nawiasem mówiąc — nie spełniły. Sumą spadkobiercy Sienkiewicza rozporządzili, zgodnie z jego wolą. Ale nie o to chodzi. Chodzi o fantastyczną potęgę talentu, która potrafiła dokonać cudu wyzwolenia. Sienkiewicz i ten odniemczony duchowo szlachcic śląski — to jakby symbol Polski i starej dzielnicy piastowskiej. Czy cud ten byłby możliwy, gdyby w Sienkiewiczu nie tkwiła tak głęboko siła żywa, tak twórcza, że aż cudotwórcza, tak potężna, że aż promieniująca nazewnątrz i — prawdziwie — słowo czyniąca ciałem?

Dwudziestolecie zgonu Sienkiewicza zastaje nas pod wielu względami na przełomie życia politycznego i społecznego w Polsce. Głębokie poczucie odpowiedzialności, o którem tak słusznie mówił Marszałek Śmigły-Rydz w chwili, gdy otrzymywał buławę, jest również udziałem wszystkich myślących i kraj swój miłujących obywateli.

Nie danem było Sienkiewiczowi wypowiedzieć się w sprawach Polski niepodległej: do jej wskrzeszenia nie dożył. Ale w pismach swoich, historycznych i współczesnych, zostawił skarb swojej myśli. Skarb ten nie jest martwy, ani zimny; ma w sobie promienie wielkiego ducha, który go wyczarował.

Zaglądać do sienkiewiczowskiej skarbnicy, wzmacniać przy niej zwątlałe siły — to spełniać wolę mistrza, który dla ich ukrzepienia księgi swoje tworzył.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

Bezgwiezdne Niebo

Ostatniej nocy, znękany wielogodzinną migreną bardzo długo zasnąć nie mogąc, czytałem amerykańskie wspomnienia pewnego polskiego Trampa. Była to książka skądinąd ciekawa, niepozbawiona plastyki, inteligentna, ale dziwnie pozbawiona stosu pacierzowego. Nie wiem, czy przez skojarzenie z tą lekturą —czy przez inne jakie reminiscencje—czytanych artykułów, lub odbytych rozmów? — — przypomniał mi się nagle Sienkiewicz i jego listy z Ameryki. A kiedy wreszcie zasnąłem, przyśnił mi się Sienkiewicz c a ł y. Właśnie tak doskonale kontrastujący z dopiero co poznanym autorem, bo uderzający s i ł ą s w o j e g o s t o s u p a c i e r z o w e g o...

Sen, jak to sen. Więc, skądinąd, już arystokratyczny starzec z Vevey — a jeszcze chuda i smagła twarz Litwosa. Stała ta postać w jakiemś ni-to wspięciu się na palcach, ni-to przechyleniu, i, sięgając dłońmi znacznych wysokości, których okiem nie obejmowałem, coś z nich zdejmowała i, ruchami spokojnemi, chowała w zanadrze. W pewnej chwili wydało mi się, że tam w górze, dokąd sięgają pracujące nieśpiesznie ręce Sienkiewicza, blasków coraz to ubywa, przybywa natomiast mroków. I dreszcz mnie przejął we śnie, że Sienkiewicz zdejmuje z polskiego nieba — gwiazdy!

Jakoż, tak było. Sienkiewicz zdejmował je rzeczywiście i co którąśtam z kolei gwiazdę wykruszył, liczył na głos:

— Skrzetuski...
— Wołodyjowski...
— Pan Longin...
— Zaćwilichowski...
— Barabasz...
— Wierszułł...
— Jeremi...
— Chmielnicki...

W pewnej chwili zawahał się lekko, ale znowu gwiazdę zdjął, i głos mu się zlekka zmienił:

— Bohun...

A potem była dłuższa cisza, po której, już z wyraźnym dreszczem w głosie, Sienkiewicz wyszeptał:

— Pan Onufry...

Rzuciłem się niespokojnie na posłaniu, raz i drugi, rozumiejąc, że dzieje się coś niedobrego, wprost przeciwnego naturze i strasznie smutnego. Sienkiewicz tymczasem, zrobiwszy jakgdyby półobrót w inną stronę, ku innej gwiezdnej konstelacji, której taksamo jak poprzedniej nie widziałem, kontynuował swoją pracę, powtarzając monotonne ruchy odrywania, i chowania w zanadrze. A wciąż liczył:

— Pan Andrzej...
— Oleńka...
— Ksiądz Kordecki...
— Książe Janusz...
— Książe Bogusław...
— Jan Kazimierz...
— Wachmistrz Soroka...
— Kuklinowski...
— Weyhard - Wrzeszczowicz...
— Roch Kowalski...

Jakiś spazm złapał mnie za gardło. Usiadłem, przecierając oczy. Było zupełnie mrocz-

Przypomnienia...

H. Sienkiewicz. Krzyżacy.

Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i, przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachołek z rozkazem od króla i szepnął mu coś zdyszanym głosem do ucha, a on, zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął:

— Naprzód!

— Naprzód! ławą równo! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szergów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

— Zro - waś - Ma-ry-ja-ła-skiś-peł-na-Pan-z To-bą!!!

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy, kmiecie z Małopolski i Wielkopolski i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa, i Mazury z pod Ełku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozbłysło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! — zakrzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy, jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem ją walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzask i krzyki wzbijały się aż ku niebiosom.

no. Sienkiewicz oddalał się zwolna. Chciałem go o coś zapytać, o coś gorąco poprosić, coś zawołać — nie mogłem. Sienkiewicz rozpływał się już we mgle. Ale znikając z pola mego widzenia, widocznie zatrzymany bezgłośnym krzykiem mojej desperacji, odwrócił się do mnie i powiedział, melancholijnie uśmiechnięty:

— Oddam ich wam, gdy zrozumiecie, jak bez nich będzie pusto i ciemno...

Zaczem zniknął. A ja upadłem na posłanie, czując coś gorącego i gorzkiego pod powiekami. Czyżby we śnie łzy? W moim wieku?

* * *

Ten bolesny, koszmarny wprost sen już się więcej nie powtórzył. Ale niepokój, który mnie trawił, pozostał. Obudziły się we mnie tysiączne refleksje. Że to nie uraza była, ani obraza — bo umarli się nie obrażają — tylko lekcja poglądowa, dana nam, żywym, nader pohopnie oddającym się uciechom o d b r o n z o w i a n i a.

W rzeczy samej — pomyślałem: — Jakież mroki ogarną nasz literacki firmament, jeśli usuniemy zeń postacie Sienkiewicza! Jakież bezgwiezdne roztoczy się nad nami niebo, gdy wykreślimy z naszego gwiazdozbioru tych bohaterów tak strasznie ludzkich, że aż żywych!?

Zacząłem szukać postaci innych, sięgając do najpierwszych polskich ksiąg. Zadumałem się chwilę:

— Rafał Olbromski? Krzysztof Cedro?

Zwiesiłem głowę:

— Widziałem ich dawniej tak przeraźliwie plastycznie... A dziś już nie widzę!

Szukałem dalej:

— Rozłucki...?

W nozdrza moje uderzyło coś dalekiego, jak zapach smutnych, jesiennych kwiatów, umierających na mogile.

A znaleść przecież koniecznie chciałem! Znaleść musiałem!

— Boryna...?

Nie to, nie to, nie to!

— Wokulski? Rzecki?

I nagle stała się rzecz dziwna. Porywającego Rafała zupełnie straciłem z oczu. I uroczego panicza, Krzysia. I Rozłuckiego. I tylu innych. Wokulski też się nie obronił i, skruszony przez ząb czasu, rozleciał się w moich oczach, jak garść piasku... Tylko jeden pan Rzecki się ostał... I on, uczyniwszy z dłoni daszek nad oczyma, zaczął się nagle pilnie wpatrywać w dal, zaczem w pewnej chwili, ujrzawszy mglisty jeszcze, ale zbliżający się coraz bardziej korowód ukochanych, znajomych postaci, zawołał:

— Szlusuj!!!

I już nie było pana Rzeckiego, starego subjekta, tylko był pan Rzecki, ochotnik węgierski, i ten ochotnik węgierski maszerował teraz, z piersią naprzód podaną, z głową do góry zadartą, w jednym szeregu z panem Janem Skrzetuskim, z panem Michałem Wołodyjowskim, z kochanym panem Longinem, i najukochańszym ze wszystkich, srodze sapiącym i ruszającym wąsiskami, panem Onufrym Zagłobą.

Nad nimi zasię szumiały polskie Orły, takie prześliczne, bo białe! I niebo było znów olśniewające, czarowne i aż srebrne od gwiazd!

JAN BEZŁASKI.

Upowszechnienie własności[1])

II.

Podstawy techniczne.

Karol Marx w swoich przewidywaniach historjozoficznych widział całkowite zniweczenie samodzielnoci, niezależności gospodarczej jednostki. W jego mniemaniu produkcja fabryczna miała tak bezapelacyjną przewagę techniczną i kalkulacyjną nad produkcją na-wpół ręczną, produkcją małego warsztatu, że wydawało mu się historyczną koniecznością pochłonięcia wszystkich drobnych warsztatów przez wielkie kolosy, podział społeczeństwa na bardzo niewielką grupkę właścicieli wszystkich środków produkcji i pozostałą resztę — wynędzniały proletarjat.

Rzeczywistość nie potwierdziła tych przewidywań. Nietylko w rolnictwie, gdzie przewidywania te okazały się oczywistym absurdem, ale również w produkcji przemysłowej i handlu. Już Bernstein zauważył błąd w przewidywaniach Marxa co do konieczności koncentracji produkcji i własności. Dzisiaj jest to jeszcze bardziej widoczne.

Ma to bardzo poważne przyczyny w samym rozwoju technicznym. Rozpatrzmy je nieco bliżej. Gdyby bowiem Marx miał rację, gdyby istotnie w samej technice tkwiły nieuchronnie działające przyczyny zagłady drobnych warsztatów, to — trzeba to powiedzieć — dalszy rozwój kulturalnej samodzielności człowieka byłby conajmniej bardzo utrudniony, jeśli nie skazany na załamanie się.

Pierwszą — naszem zdaniem — przyczyną, przeciwdziałającą koncentracji produkcji, jest fakt, że dzisiaj można technicznie *przerwać* produkcję i przenieść dalszy jej ciąg gdzieindziej. Można np. w jednej hucie wytapiać tylko surówkę czy stal, a przerabiać ją dalej w innych zakładach; można w przędzalni prząść tylko przędzę, w tkalni tkać tkaninę, w farbiarni ją barwić, w wykończalni ją merceryzować, a wreszcie u krawca szyć ubranie. Można w jednym kraju produkować cukier żółty, a rafinować go w innym kraju. Można w jednym kraju produkować półprodukty organiczne do barwników, a same barwniki w innym kraju. I nietylko teoretycznie *można* tak robić, ale w nieskończonej ilości wypadków tak się dzieje i niezmiernie często okazuje się, że *gospodarczo*, kalkulacyjnie właśnie jest lepiej tak dzielić produkcję.

Nie chcemy tu zanadto wchodzić w szczegóły, ale historja wielkich koncertów w okresie ostatniego kryzysu — kiedy to okazało się, że są one wcale nie najbardziej odporne na wahania konjunktury — jest bardzo pouczającym przykładem, że niezawsze maksymalna koncentracja produkcji daje najlepsze gospodarczo wyniki.

Musimy powiedzieć, że, nie *pomimo*, tylko właśnie *dzięki* postępowi techniki powstały poważne techniczne podstawy istnienia wielkiej ilości drobnych warsztatów przemysłowych. Pewnie, jeśli się każe drobnemu warsztatowi objąć całość procesu produkcyjnego, wydobywać i wytapiać rudę żelazną, miedzianą, czy cynkową, wytapiać stal czy rafinować i walcować miedź lub cynk a potem produkować z tego wyroby gotowe: podkowy, kosy, artykuły elektrotechniczne, to wówczas drobny warsztat nie ma najmniejszych szans istnienia. Ale ponieważ istnieją wielkie przed-

[1]) Początek w Nr. 12.

siębiorstwa, które to robią, to mogą istnieć bardzo drobne warsztaty, które podejmują następne stadium produkcji już po wywalcowaniu stali czy przerafinowaniu miedzi. Dzięki temu, że istnieje Alpine Montan-Gesellschaft, kowal styryjski może produkować sławne na cały świat kosy i sierpy.

Warto tu przytoczyć niezmiernie interesujący i zupełnie nowy przykład, wskazujący, że produkcja małych maszyn robi ciągle postępy i wskazujący jednocześnie, że specjalnie u nas mogłyby te małe maszyny mieć wielkie i pożyteczne zastosowanie. Wyprodukowano już mianowicie uniwersalny warsztat tkacki, pozwalający na tkanie przędzy lnianej, bawełnianej, wełnianej, a nawet rafji na jednym warsztacie przy zmienionych grzebieniach. Warsztat ten jest tak mały, że po robocie można go złożyć i schować, a koszt jego wynosi ca 150 zł. Utkanie jednego metra materjału trwa około 5 kwadransów, przyczem tkacz ma wszelką możliwość zmiany wzoru czy deseniu po każdym metrze tkaniny, skutkiem czego może np. na każde ubranie dać inny oryginalny deseń.

A druga przyczyna, przeciwdziałająca nadmiernej koncentracji, odbierająca jej charakter konieczności nieuchronnej: to coraz większa potrzeba precyzji w produkcji. Naturalnie istnieje cały szereg maszyn, tak precyzyjnych, że nie może się z niemi równać żadne oko ludzkie, żadna, największa nawet zręczność. Ale to nie znaczy bynajmniej, aby człowiek nic już nie miał do roboty. Dlaczegóż to dwuch wiertaczy, postawionych przy tym samym świdrze, inaczej dowierca się ropy? Dlaczego to polscy wiertacze, najlepsi pono na całym świecie, tak bardzo są cenieni w Ameryce i na Jawie? Dlaczego w całym szeregu działów podjęcie produkcji wręcz zależy od znalezienia odpowiednich ludzi? Maszyna jest wspaniałą rzeczą, ale tylko *rzeczą* i dlatego nigdy nie zastąpi człowieka i to właśnie w jego najcenniejszych walorach. Natomiast może zastąpić, i dobrze że zastępuje przedewszystkiem wszędzie tam, gdzie potrzebna jest wielka siła fizyczna.

Dalej. Postęp techniki — to w pierwszym rzędzie postęp w wytwarzaniu narzędzi produkcji. I ten postęp właśnie doprowadził do wytworzenia całego szeregu narzędzi, jakby specjalnie przeznaczonych dla małych warsztatów. Przykładów można znaleźć mnóstwo, każdy warsztat stolarski czy ślusarski dostarczy ich pod dostatkiem, a najbardziej chyba znanym jest maszyna do szycia. Szczególnie jednak trzeba podkreślić rozwój produkcji obrabiarek o wielorakich zastosowaniach.

Zostańmy jeszcze w dziedzinie techniki. I zwróćmy uwagę na dokonaną już dekoncentrację w dziedzinie energetycznej. Elektrownie i gazownie mogą dostarczyć siły, ciepła i światła równie dobrze bardzo wielkiemu jak najdrobniejszemu warsztatowi. Ta dekoncentracja energji jest niesłychanie istotnym elementem w gospodarczym układzie stosunków i to przedewszystkiem w sprawie dekoncentracji produkcji. Podobne znaczenie ma produkcja małych, ekonomicznie pracujących motorków.

Jeszcze stosunkowo nie tak dawno podjęcie produkcji o charakterze masowym wymagało stworzenia własnego źródła energii, co sprowadzało się do konieczności zainstalowania własnego kotła parowego. Dawało to wielki atut wielkim zakładom, tem bardziej, że im większy jest kocioł, im większą ma powierzchnię ogrzewalną, tem bardziej ekonomicznie pracuje, ponieważ stosunkowo mniejsze są nieużyteczne straty ciepła.

„Dekoncentracja“ energji, jaka nastąpiła na skutek powstania elektrowni i gazowni, przywróciła małemu warsztatowi przemysłowemu czy rzemieślniczemu równość warunków pracy w dziedzinie energetycznej.

Świadomie wyrzekamy się tutaj — aby nie przedłużać naszych rozważań — argumentu wskazania na bynajmniej nie błahą przyczynę społeczną, przeciwdziałającą koncentracji produkcji, mianowicie na fakt, że wzrost samodzielności kulturalnej człowieka z natury rzeczy wywoływać musi indywidualizację smaku, upodobań, gustów. Że to jest technicznie możliwe — dowodzi przytoczony wyżej przykład warsztatu tkackiego.

Niema najmniejszego powodu — jak to czynił Marx — pozostawiać rzemiosłu, jak z łaski, dziedzinę drobnych reparacyj. Dzisiejszy stan techniki stworzył *techniczne* uzasadnienie istnienia drobnych warsztatów przemysłowych i rzemieślniczych.

Dotychczasowe uwagi upoważniają nas do następującego twierdzenia: ewolucja, jaka nastąpiła w samym charakterze więzi społecznej z jednej strony, a postęp techniczny, umożliwiający „parcelację” produkcji, z drugiej strony, wysunął na porządek dzienny jako pierwszorzędnej wagi zagadnienie — sprawę upowszechnienia własności. Stało się to zagadnieniem nie tylko gospodarczem, ale jednocześnie — i bodaj w większym stopniu — zagadnieniem społecznem. Albowiem jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, aby samodzielność kulturalna człowieka uzyskała gospodarcze podstawy, a tylko upowszechnienie własności dać je może. Jeśli mogę — choćby najskromniej — przeżyć bez odwoływania się bez czyjejkolwiek pomocy, bez szukania u kogokolwiek pracy, mogę czuć się naprawdę silnie w wyznawaniu i głoszeniu moich przekonań, idei i poglądów.

Nawiasem mówiąc: jeśli nie osiągnąłem tej niezależności, jaka wynika z posiadania przeze mnie samodzielnie materjalnych podstaw egzystencji, to moja swoboda ideowa będzie tem większa, im większa jest na rynku ilość pracodawców. Natomiast gdy na rynku jest jeden tylko pracodawca, np. państwo — bo to jest najgroźniejszy przez swoją nieodwołalność i przez powiązanie z władzą publiczną wypadek monopolizowania zapotrzebowania na pracę — to moja swoboda się kończy.

Zupełnie analogicznie przedstawia się sprawa, jeśli chodzi o uzależnienie drobnego warsztatu pracy — przemysłowego czy rzemieślniczego — od dostawców. Jeśli dostawcami tymi są przedsiębiorstwa wielkie, jak to z reguły ma miejsce, gdy chodzi o dostawców surowców i półfabrykatów, to i w interesie tego drobnego odbiorcy leży, aby jego dostawca nie był monopolistą, t. zn., aby przemysły surowcowe nie były ani upaństwowione, ani też przymusowo skartelizowane. Przymus kartelizacyjny bowiem wyłącza te wszystkie czynniki, które w każdym kartelu działają w kierunku dostosowania jego polityki do sytuacji na rynku i do polityki tych przedsiębiorstw w łonie kartelu, które są najsilniejsze, t. zn. mają najniższe koszty własne.

Z 7 dni

W gdańskim dzienniku ustaw ukazało się rozporządzenie o pośrednictwie pracy dla uczniów rzemieślniczych, które zcentralizuje te czynności wyłącznie w krajowym urzędzie pracy. Cel jest jasny. Robotnicy polscy w Gdańsku wiedzą, że odtąd żaden Polak nie będzie mógł w Wolnem Mieście dostać się do rzemiosła.

*

Przed dwoma laty brukowa prasa czerwona w Warszawie ogłosiła konkurs na hymn państwowy. Nowy hymn państwowy miał zastąpić pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“. Według redaktorów i wydawców tej prasy oraz Polskiej Akademji Literatury, która nad konkursem objęła protektorat, dotychczasowy hymn nie odzwierciadlał naszej rzeczywistości.

Obecnie P. A. L. ogłosiła sprawozdanie z konkursu. Wypadło ono negatywnie, co przewidywała cało prawie prasa polska. Dziwna instytucja z tej akademji, która postanowiła zdobywać doświadczenia kosztem śmieszności.

*

Wiadomo dotychczas o istnieniu we Włoszech dwu er: chrześcijańskiej i faszystowskiej. Obie te ery muszą być we wszystkich korespondencjach uwzględniane. Niebawem ma być wprowadzona trzecia era — cesarska, której lata liczyć się będzie od 1 stycznia 1936 r. W ten sposób rok np. przyszły pisany będzie: 1937. XV. II.

*

Zarząd stoł. m. Warszawy przyznał nagrodę literacką Romanowi Kołonieckiemu i nagrodę muzyczną zasłużonemu pedagogowi i muzykowi — Adamowi Wieniawskiemu. Ponadto Zarząd st. m. Warszawy dostąpił wysokiego zaszczytu z powodu przyznania nagrody naukowej prof. Czesławowi Witoszyńskiemu, którą ten-że raczył przyjąć. Prof. Witoszyński jest uczonym światowej sławy i twórcą Instytutu Aerodynamicznego.

PRETEKSTY

O „Rogatem sercu” i o przedmieściu Nothinghill

Ziemiotrud z Kalwarji Bryndza, Eugenjusz z Zakopanego Hanzel, Kurhanin ze Słociny Gliwa, Stach z Warty, Szukalski itd., i jak się oni tam nazywają jeszcze ci witezie z pod znaku „Rogatego Serca“: ludzie się z tego śmieją i ja się śmiałem, ale tylko do chwili, w której się nad tem wszystkiem zastanowiłem. To są dwie rzeczy: J e d n a to pragnienie powrotu do prawiecza, oczywiście prawiecza słowiańskiego u nas. Z tem to nie taka prosta sprawa, trochę utopji, trochę niebezpieczeństw, ale trochę i niewygasłe dobrych rzeczy: Lubicie las, las i drzewa, drzewa i drzewo, drzewo i ładne rzeczy z drzewa, drzeworyty i domy drewniane? Oto dobry i zdrowy gust, godzien ochrony, godzien walki. Dopóki tego gustu współczesność nie odda i nie obleje się doszczętnie cementem, asfaltem, futuryzmem i tailoryzmem, dopóty będą w cenie rzeczy i postawy i nastroje drzewne, i to co d r z e w i e j b y ł o zawsze się nam będzie wołaniem uroczem i zielonem przypominać. Te chłopskie nazwiska przy tej słowiańszczyźnie conieco teatralnej i napuszonej, mogą czasami śmiesznie wyglądać; ale co z tego? Kiedy te Ładomiry, Zie-

mitrudy, Słońcesławy i Pracowity rosną z macierzystej gleby mówienia polskiego takim samym swobodnym i rozrosłym wzrostem, jak rosną swobodnie i rozrastają się wedle swoich praw tajnych drzewa zielone, co wzięły w siebie wonny ziemi sok?... A po drugie, co się tyczy tych dumnych wywodów z Ryglic i ze Słociny: to jest swego rodzaju sprzeciw przeciwko negatywnemu mitowi (antymitowi) prowincji, jako krainy wszelkiej szarzyzny i ospalstwa i pospolitości i zdechłych Azorków i trupiejących filistrów i beockiej melancholii i stęchłego błota i wieprzkowatej euforji i mgły śmierdzącej i wogóle wszelakiej bezwartości, jak się to modą stało u naszych w naszej młodej literaturze. Ci natomiast młodzi spod znaku Rogatego Serca na swoich miastach, miasteczkach i wsiach opierają się dumnie, pewni tego, że jeśli dziś jeszcze Słocina i Żołynia nie są znane — to po latach będą już miały swoje miejsce w historji polskiej sztuki... I oni cieszą się, że to właśnie Słocina będzie i Kalwarja i Ryglice... Człowiek szanuje miejsce, na którym stał się — bo to jest wielka rzecz, przyjść na świat i rodziców mieć i swoją kolebkę i swoje gwiazdy i swoje słońce, które się nad tem miejscem, o tej godzinie, w jeden i jedyny na całą wieczność znak zeszły — i swój kwadrat ziemi pod stopami. Dość już bezczasia i bezmiejsca, dość już płynnej miazgi luźnego motłochu wielkich targowisk! Człowiek chce, choćby nawet znacznym i sławnym nie miał być, chce mieć swoją ważność i jedyność w obliczu znaków niebieskich i pomiędzy mnogością ludzi, i ważną chce mieć pomiędzy ojczyznami swoją własną ojczyznę, nawet tę małą i najmniejszą. Przypomina się z Chestertona jakoś tak: Owoce są z krajów południowych, futra z krajów północnych, złoto z Afryki, wełna z Australji, ale ludzie? Ludzie są z Nothinghill!...

O Szukalskim, czyli budzą się wielkie ambicje...

Są tam i śmieszne i wątpliwe rzeczy u Szukalskiego. Np. do „twórcowni" przyjmowani będą tylko z pośród krępo zbudowanych. Szczupłej i wąskiej budowy kandydaci nie będą nawet poddani pod rozważanie". Był rasizm Panów Kiszotów; teraz będzie rasizm Sanszów Panszów... Zresztą może być i taki, iż cienkosze są mniej zdolni do plastyki niż krępaki. To byłaby kwestja do zbadania. Tylko że w statystyce znaczą tylko ci liczni, a nic nie znaczy ten jeden. A może ten jeden chciałby i mógłby być uczniem twórcowni, choć podobniejszy do Kiszota niż do Pansza? Czy Szukalski ma jakieś szczególne doświadczenia z cienkoszami, czy też kieruje się własną krępacką dumą antropologiczną i antropologicznym wstrętem? To kwestja ciekawa. W każdym razie warto zauważyć, że w takich ocenach jednostki na podstawie przynależności grupowej, kierujemy się tylko i wyłącznie indukcją niezupełną; a indukcja niezupełna, gdzie jak gdzie, ale w odniesieniu do zjawisk życia bywa często indukcją urojoną... „Przyjmuje się do twórcowni nie wedle talentu, którego nasza metoda nie uznaje, lecz jedynie na zasadzie wykazanej pracowitości." Bardzo zacna zasada: bez pracy nie będzie kołaczy — także i w dziedzinie artystycznej; ale zasada prawdziwa tylko do granic poprawności; widziało się pracowitych i szczerze życzyło się im sukcesu; ale poza poprawność, w najlepszym wypadku ładność i wdzięk nie wyszli; a gdzie rozmach, bogactwo hojne pomysłów i siły, polot i ta jedyność „uchwytu", która jest przywilejem nie do udzielenia tym, którzy się tylko pracowitością a nie t. zw. talentem i genjuszem wyróżniają? Czy Szukalski, gdyby był tylko pracowitym, zadziwiałby?... Coś mi się nie podoba w tej przesadzie z pracą, choć to cnotliwa przesada, w tym antytalentyźmie, choć to odtrutka na dyletantyzm... Coś mi ten laboryzm pachnie masizmem, ten antytalentyzm — niwelizmem.

Interesującem jest żądanie od ucznia, aby rysował nie z modelu, ale z pamięci i to aż do skutku, dopóki nie narysuje doskonale; każda praca musi być dokończoną, aż do ostatnich możliwości. „Szkiców nie wolno robić. Pracuje się jedynie na jednej kompozycji aż do skończenia bez rozpraszania się na inne rozpoczęte". Jest to coś heroicznie rzetelnego w tem domaganiu się od ucznia plastyka, aby się tak wpił swoją uwagą w rzeczywistość optyczną, aby ją mógł później z własnej wyobraźni odczarować; i w tem, żeby się niezłomną wolą przykuć do jednego zamiaru: zasada non multa sed multum w tej dydaktyce otrzymała doskonały wyraz. Dla ścisłości notujemy plotkę: że uczniowie Szukalskiego, którym z modelu rysować (lepić) zakazano, pomagają sobie fotografjami, Z wiedzą czy bez wiedzy mistrza? Gdyby tak, to ów heroizm plastycznego kształtowania byłby znacznie podważony. Relata refero. Tak, jest w tem wszystkiem jakiś bohaterski zryw. Ta sztuka chce — żeby niebanalną rzecz dość już banalnem wyrażeniem określić — chce organizować wyobraźnię narodową w kierunku bohaterstwa. Chce czynić to przez stawianie oczom współczesności naprzeciw, oczom od mitycznych wizyj odwykłym — widoków wielkości ucieleśnionej, plastycznie wyobrażonej w formach mitologicznego patosu, czy tam patetycznej mitologii. Ale co jest najbardziej oryginalne: „Zyskawszy sympatje naszych sąsiadów przez opracowywanie ich narodowych bohaterów na równi z naszymi własnymi, zdobędziemy nowe gromady młodzieży zagranicznej przysłanej do Krakowa przez swe społeczeństwa, bo my będziemy uczyć patrjotyzmu, nie zaś wynaradawiać kosmopolityzmem, jak się to czyni w Paryżu. Potem kiedy już będziemy mieć międzynarodową gromadę uczniów polskiej twórcowni i razem uczyć się wspólnej prawdy w walce o wolność, wiedzę i wielkość, wówczas rozpoczniemy budowanie fundamentów Neuropy. Kraków ponownie stanie się ogniskiem kultury.

Nawiasem powiedziawszy, dlaczego nie Nowropy, jak już koniecznie robić zbitki wyrazów? Neuropa — całkiem po niemiecku. A co do Paryża? I w Paryżu nie zachwycają się tym kosmopolitycznym owsem z całego świata, który zagranicą podaje się za najcieńszy ryż „francuskiej sztuki"!... Ale sama ta myśl — ożywcza jak powietrze w górach!... Takie laboratorjum wzniosłej wyobraźni. W Polsce. Nie tylko dla Polaków. Dla innych także. I ta mimowolna dla Polski wdzięczność tych, którzy się tu wzniosłym tchem napoili. I ten zdrowy instynkt, że ta jest droga ocalenia: Droga wielkości. A wielkości przez wykonanie swego prawa starszeństwa w stosunku do tych, którzy po nas starszeństwa patrzą: Wobec krewnych naszych, tu między trzema morzami: między Bałtykiem, Morzem Czarnem i Adrjatykiem.

Coprawda tej ostatniej myśli już Szukalski nie wypowiedział — wypowiadają ją w ostatnich czasach inni, nieliczni jeszcze, ale coraz liczniejsi, odkrywają ci, co między Słowian, południowych zwłaszcza, jeżdżą i tam radośnie zdziwieni widzą, że Polska tam nie za małą rzecz jest uważana. Szukalski, ze swoją ekscentrycznością, raczej o Węgrach myśli, niż o kim innym... Owszem prosimy bardzo; ale są bliżsi nam, którychbyśmy chcieli owinąć naszem powietrzem górskiem — jeśli buchniemy górami i w górę — zamiast rozkładać się haniebnie w mgłach płaskich i zgniłych... Jest coś bardzo porywającego w takich ambicjach wielkich — na tle naszej zgniłkowatej malizny; sam fakt, że są wogóle takie ambicje, jak ta Szukalskiego i te inne, podobne, pokazuje, że jednak coś w nas jest, jakieś zaciery i zaczyny wielkości... żeby tylko zapóźno nie było...

Cyrano.

Świat pracy

DRUKARNIA PAŃSTWOWA.

Najwyżsi dostojnicy państwowi wygłaszają przez radio orędzia do społeczeństwa, aby niosło ono pomoc bezrobotnym w trudnym okresie zimowym. Bardzo słusznie. Ale najlepiej byłoby zacząć od dania możliwie największej liczbie bezrobotnych pracy. Ktoś mógłby zapytać, gdzie tę pracę znaleźć.

Oto w Drukarni Państwowej jedni i ci sami ludzie są zajęci przez dwie zmiany, czyli po 16 godzin na dobę. A tymczasem bezrobotnych drukarzy w stolicy jest tak wielu. System ten stosowany jest w Drukarni Państwowej już od wielu lat. Skargi u inspektorów pracy, u wojewody, ba, nawet u samego ministra pracy nie odnosiły dotąd żadnego skutku. Najważniejsze, że ludzi poprostu zmusza się do 16 godzin pracy dziennie.

Najwyższy czas wyjaśnić zarówno tytuł do omijania prawa, jak i niechęć do zmniejszania bezrobocia.

J. J.

ROMAN MIECHOWICZ

Praca fachowa

(Z doświadczeń organizacyjnych)

Doniosły problem fachowej pracy nabiera jeszcze większego znaczenia na tle obecnego kryzysu i związanego z nim bezrobocia, gdy coraz częściej podejmuje się prace nie pod kątem widzenia konieczności, lub celowości, ale dla samego tylko zatrudnienia. Spotykamy jeszcze inny objaw. Mimo znacznej podaży, duże zapotrzebowanie sił kwalifikowanych nie zostaje pokryte, a te właśnie siły kwalifikowane nie znajdują zatrudnienia, w najlepszym zaś razie znajdują zatrudnienie nieodpowiednie i niewystarczająco wynagradzane. Winę ponosi tu przedewszystkiem niedocenianie wykształcenia zawodowego, a także, i to nie na ostatniem miejscu, brak znajomości pracy i u pracowników i u chlebodawców. Niedocenianie wykształcenia powoduje u młodzieży, przyszłych pracowników, niechęć do pracy i zanik wszelkich zainteresowań, skoro wiadomo, że pomimo wysiłków i uzyskania potrzebnych kwalifikacyj, nie można spodziewać się zatrudnienia i spożytkowania w ten spo-

sób wiadomości z trudem nabytych. W najlepszym bowiem razie praca nie będzie odpowiadać przygotowaniu fachowemu, a czasem nawet może ono być wprost przeszkodą w uzyskaniu zarobku.

Na ogół przedsiębiorcy wolą zatrudniać siły niekwalifikowane jako tańsze, nie liczą się z tym faktem, że taniość jest przeważnie tylko pozorna. Płaci się wprawdzie mniej, ale praca wykonana jest gorzej. Oczywiście chodzi tu o zakresy prac, wymagające pewnych kwalifikacyj.

O ile po stronie pracowników brak jest fachowego przygotowania—zgódźmy się tymczasem na brak sił kwalifikowanych i duże pretensje nieproporcjonalne do wartości zaofiarowanej pracy—to po stronie przedsiębiorcy spotyka się b. często zupełną nieznajomość pracy, którą kieruje, a co za tem idzie niemożność skonkretyzowania wymagań, jakie należy stawiać kandydatowi przy rekrutacji, lub też następnie przy stałem zatrudnieniu.

Pracownik chętnie obniża swą wydajność, zastępując ją pozorami pilności, aby zbyt prędko nie stracić zarobków, jeżeli zakontraktowano go na czas. Obniża wydajność, aby dłużej pracować i może mieć czem zabić nudę i pustkę intelektualnego życia, którego nie jest w stanie wypełnić niczem poza ciasnym kręgiem obowiązków — nie zainteresowań — zawodowych.

A niestety bardzo często spotyka się takie typy pracowników. Pracownik taki chętnie przesiaduje w biurze ponad normalny obowiązek, choćby bezproduktywny, wiedząc, że raczej tem zyska sobie uznanie i pochwałę przełożonych, niż gdyby sprawy szybciej załatwiał, mógłby się bowiem wtedy narazić na zarzut lenistwa, no, i może ilościowo nawet „karne" zwiększenie obowiązków, dla odciążenia innego „pilnego" pracownika. Skutkiem tego jest nie chęć podciągnięcia się wyżej, lecz wybieranie drogi najłatwiejszej i najefektowniejszej ze szkodą dla pracy samej. Dla dokładności obrazu wypada dodać jeszcze, że często spotyka się błędny zupełnie podział pracy, przy którym na jednych nakłada się same obowiązki — a nawet czasem zmusza się ich do wykonywania pracy za innych — drugim zaś przypadają w udziale same korzyści, oraz istną plagę t. zw. pracy „społecznej".

I u pracownika i u chlebodawcy spotyka się rzadko znajomość wymagań koniecznych do wykonywania danej pracy. Przyczyny tego zjawiska szukać musimy po stronie pracowniczej a więc wykonawczej, przytem często obowiązki wykonane są odmiennie od przygotowania i wykształcenia. Nie mogąc uzyskać pracy, musi pracownik przyjmować każde zaofiarowane zajęcie, aby zdobyć środki do życia. Po stronie przedsiębiorcy, kierownika, chlebodawcy, nieznajomość pracy przypisać należy często brakowi zainteresowania i niechęci do zgłębiania zagadnień pracy mu podlegającej. U przedsiębiorcy jednostkowego może to być konserwatyzm i niechęć do zmiany metod odziedziczonych po swych poprzednikach i bezkrytycznie nadal stosowanych.

Nieznajomość pracy powoduje stawianie żądań za wysokich tam, gdzie wystarczą zupełnie małe lub średnie, albo też niedocenianie wartości zgłaszającego się pracownika. Przytem słyszy się często utyskiwania na brak sił odpowiednich. Skutkiem tego zatrudnia się wykonawców nieodpowiednich. Fakt ten dobrze znany jest organizatorom. Spotyka się czasem przedsiębiorców, szukających wykonawców w sposób swoisty. Przyjmuje się kandydata tylko na trzymiesięczną bezpłatną praktykę, a po upływie tego czasu przychodzi nowy. Powtarza się to tak długo, aż wreszcie można trafić na pracownika odpowiedniego. Na pytanie, ile ten „system" kosztował przedsiębiorstwo, padła ze zdziwieniem i lekkim odcieniem oburzenia odpowiedź, że „przecież tym praktykantom nic nie płacono". No pewnie, ale trzeba było policzyć przynajmniej koszt pracy tych, którzy musieli błędy swych nieszczęsnych współpracowników poprawiać i szkody spowodowane temi błędami, — ale o tem nie pomyślano wcale!

Przykładów nieumiejętności w wyzyskaniu uzdolnień pracowników jest poprostu bez liku. Pogłębia to kryzys, bowiem w pogoni za kawałkiem chleba używane są wszelkie sposoby, wszelkie względy osobiste, odsuwające na plan dalszy pracę rzeczywiście fachową. Powstaje absurd, że *ponieważ* pracy jest mało, *przeto* wykonywa się ją źle. Jeśli więc w strukturze ekonomiczno - państwowej od góry do dołu — oczywiście, u góry dla innych powodów — spotyka się brak kompetencji i jej niedocenianie, to jakże jałowemi wydają się rozmaite formuły o wyścigu pracy, jakże smutne będą wyniki z istotnej bezwzględnej rywalizacji międzynarodowej.

Rozróżniajmy

Redakcja O d n o w y otrzymuje co tydzień stos wycinków — naprawdę dużą ilość —z prasy, przynoszących wiadomości życzliwe, złośliwe, przedruki, uwagi, krytyki. Naogół uchylamy się od dyskusji osobistej. Chociaż czytelnicy przeważnie lubią utarczki słowne, byle błyskotliwe, jednakże nie brak tego w innych czasopismach, natomiast brak w Polsce dążeń do załagodzenia sporów pomiędzy ludźmi dobrej woli. Nie znaczy to, abyśmy nie dostrzegali różnic w poglądach, naiwności, błędów, czasem złej intencji. Ale, doprawdy, nie warto judzić.

Ot, naprzykład. Istnieje w kraju kilka pisemek, reprezentujących poglądy młodszego pokolenia. Poglądy... Może to zbyt poważne określenie dla tych pohukiwań. Przypominają się nam czasy studenckie, kiedyśmy uchwalali na wiecach rezolucje z potępieniem i pręgierzem. Różnica polega tylko na tem, że młodzież dawniejsza wyrażała pogardę cesarzom rosyjskiemu, niemieckiemu i austrjackiemu, a dzisiaj adolescencja w braku cesarzy wyraża politowanie wszystkim starszym, którzy posiadają dorobek zasług naukowych i społecznych.

Styl ich wyrażeń jest szakardny, co, jak wiadomo, ma oznaczać tężyznę i dojrzałość męską. Treść... nie, tam niema treści rozsądnej. Tupet — bezgraniczny. Zdolności niekiedy są i to wyraźnie zarysowane. W sumie są to wybuchy o „zgniłym demoliberalizmie", o „masonach profesorach", o „nowych idejach i wczorajszych ludziach", o „jutrzence" i o „przekroju rzeczywistości w świetle czynu zbiorowego".

Czy należy tłomazyć miłym chłopcom, że po ukończeniu 20 lat i przy rozpoczęciu studjów spotkają się z niesłychanym sceptycyzmem właśnie u tych „profesorów - masonów" w stosunku do wszelkiej wiedzy? że tylko młodość wie wszystko napewno, a ludzie doświadczeni wciąż wątpią? Chyba nie. Istnieją dostateczne powody, aby przemilczać ich ataki i raczej okazywać atakującym szczerą życzliwość.

Bo decydującą sprawą jest to, że pobudki ideowe młodzieży są czyste. Wielu z nich nie dojada, aby mieć możność wydrukowania swych udręk duchowych. Wielu pojechało do Berezy. Wielu widzi zło i stwierdza, że dotychczasowe środki zawiodły, więc krzyczą, wymyślają, grożą. Oni subsydjów nie biorą i tłustych posad nie mają, a męka współczesnego życia i odpowiedzialność za przyszłość są ich wystarczającym tytułem do zdobycia sympatji, a już conajmniej pobłażliwości w stosunku do młodocianego zapału i braku umiarkowania.

Powyższe rozważania ogólne są nam potrzebne do zestawienia kontrastowego z faktem określonym. Wręcz odmienne cechy i podłoże działania posiada sanacyjny organ — D z i e n n i k P o z n a ń s k i, który zaatakował O d n o w ę zapomocą równie płytkiej frazeologji, powołując się przytem na pokrewieństwo duchowe z młodzieżą. A to już trzeba rozgraniczyć.

Artykuł wstępny w rzeczonym dzienniku p. t. „Czyśmy zwarjowali" rozpoczyna się od tezy, że śmierć Ignacego Daszyńskiego „przeszła bez większego wrażenia" i że „tych liści więdnących sypie się coraz więcej pod nasze nogi". Potem, że nadeszła nowa epoka i że „to co się dzieje, dzieje się gwałtownie, z męską stanowczością, z żelazną, niepobłażliwą konsekwencją". Potem, że T. Żeleński niepotrzebnie przetłómaczył i wydał książkę L o c h y W a t y k a n u André Gide'a (??). Potem, że „poprzez wszystkie przemiany światopoglądowe... krystalizowaliśmy polską deklarację konstytucyjną z 1935 r." i że prof. Peretiatkowicz dał w Katowicach „głęboko filozoficzny wgląd w jej istotę".

Z tych przesłanek nader oryginalnie dobranych wynika wniosek: „do formy i treści naszej konstytucji należałoby przystosować całe wewnętrzne życie państwa".

Tutaj passus o O d n o w i e: „Nie dziwi nas, że profesorowie z „Odnowy", organu Frontu Morges, chcą wracać do politycznych pojęć XIX wieku. Profesorska suchość i masońskie kontakty tłomaczą ich aż nadto dobrze".

W zakończeniu okrzyk „czyśmy zwarjowali", zwrócony do rozkładającej się sanacji i znowu apologja młodego pokolenia. „Giną między młodymi wczorajsze przepaście, zbliża ich jutro... Narasta silna i wielka idea, — aby politycy ją zharmonizowali z politycznem działaniem, bo jest ona zgodna z solidarystyczną koncepcją naszej konstytucji...".

Prasa sanacyjna ma w dyskusji przewagę. Oni mogą powiedzieć wszystko, co chcą, aż do takich zwrotów, jak pisano ongi po zniknięciu bez śladu jenerała wojsk polskich, że „jednego nikczemnika mniej". My, tak zwana opozycja wszelkich odcieni, musimy pisać bardzo oględnie. Pozostawmy przeto czasowi, a narazie domyślności, co sądzimy o konstytucji, o jej uchwaleniu, o zniknięciach, o napadach, o nikczemnikach w cudzysłowie i bez cudzysłowu, o D z i e n n i k u P o z n a ń s k i m, o źródłach przekonań i o wielu, wielu zjawiskach, które kiedyś będą przypomniane.

Teraz ograniczymy się do uwagi ogólnej: jakże oni osłabli! Jak daleka droga od szafowania „nikczemnikami" do „zeschłych liści". Jak to dawniej nęcono posadami „Legjon młodych", a jak dzisiaj potrzebne jest jakiekolwiek poparcie. Jak to spędzano z katedr profesorów niemiłych, a teraz używa się chwytów nędznych, spowszedniałych o „masońskich kontaktach". Jak to głoszono elitaryzm, a obecnie t o s a m o nazywa się solidaryzmem. Jak ten solidaryzm wygląda na tle ordynacji wyborczej. Jak to wykruszyła się ich potęga, zwietrzała, zmarniała, wcale nie w wyniku przegranej bitwy z opozycją, bo dotąd wygrywają, lecz w wyniku nieuchronnie przegranej wojny z życiem.

Pragną więc transfuzji ducha i sił. Chwalą i wabią młodzież. Sięgają do ich słownictwa, powtarzają te same okrzyki i frazesy. Wszystko napróżno, bo nigdy nie połączą się dwa odrębne gatunki ludzi. W okresie największego powodzenia rządów nigdy sanacja nie zdobyła młodzieży. Miała grupy robotników, chłopów, mieszczan, arystokrację, księży, przemysłowców, profesorów, ale nigdy nie trafiła do szkół średnich i wyższych. Dzisiaj, kiedy rozpełzła się ich spójnia wewnętrzna, kiedy klei się a d k o c programy, kiedy szminkuje się wrzody rozkładu, jakże naiwne są wysiłki pozyskania tych, którzy mają małe doświadczenie, lecz bolesne i łatwe do zapamiętania.

Co się zaś tyczy O d n o w y... Jedna bzdura mniej czy więcej o rzekomem masoństwie znakomitych ludzi nie zasługuje na odpowiedź.

Idziemy dalej. R. Ś.

J. RAWICZ.

Metody niebezpieczne

Niebezpieczeństwo komunizmu jest ogromne. Komunizm działa jak dynamit, który rozsadza społeczeństwo od wewnątrz, osłabiając i burząc więź religijną, moralną, kulturalną, narodową. W cywilizacyjnem znaczeniu odgrywa zatem w świecie nowoczesnym analogiczną do tej, jaką odgrywały w początkach naszej ery inwazje barbarzyńskie, które rozsadziły wkońcu świat starożytny.

Walka jest niezbędna. Ale walka celowa, inteligentna, skuteczna. Jest to bowiem walka trudna. Bakterje komunistyczne rozpylane są nieustannie po świecie z tego wielkiego rozsadnika, jakim się stały Sowiety. Otóż bakterje te, jak wszelkie bakterje chorobowe, rozwijają się i mnożą się najłatwiej i najbujniej na podłożu organizmów skądinąd już dotkniętych chorobą, a przeto nieodpornych i słabych.

Niezbędna w tych wypadkach jest przedewszystkiem kuracja zapobiegawcza: *wzmocnić organizm.*

W rzeczy samej doświadczenie wykazało, że komunizm atakuje zwycięsko społeczeństwa chore, to znaczy, zacofane społecznie, politycznie i kulturalnie, *obciążone nadmiarem krzywdy i ucisku.* Takiem społeczeństwem była carska Rosja. Takiem też była przedrewolucyjna i rewolucyjna Hiszpanja. Niemcy i Węgry, niezmiernie osłabione po katastrofie wojennej 1918 roku, a i Włochy, które długo przed wojną były podkopywane od wewnątrz przez wpływy tajnych organizacyj z masonerją na czele, z wojny zaś wyszły wprawdzie formalnie zwycięskie, ale niezaspokojone w dążeniach swoich, rozżalone i rozgoryczone, — stworzyły także wdzięczne podłoże dla komunizmu i dla bolszewickich puczów.

We Włoszech i w Niemczech zastosowano tedy metodę: klin klinem. Zastrzyknięto sobie sporą dawkę bolszewickiej surowicy, — tak jak się zastrzykuje surowicę — ospy przeciw ospie, tyfusu przeciw tyfusowi. Jestto eksperyment, w terapji socjalnej nowy, z pewnością nie najbezpieczniejszy, kuracja tak zwana „końska". Na skutki trzeba zaczekać. Choroby narodów i zmagania się z niemi bywają bardzo długotrwałe. Historja ma czas. W każdym razie surowica zrobiła swoje i wywołała stan gorączkowy. Trudno powiedzieć, by w Italji i w Niemczech stosunki były normalne.

W Polsce ostatniemi czasy wzrosła propaganda komunizmu. Czego to dowodzi? Z pewnością przedewszystkiem jednego: że *ma na czem żerować.* Bo komunizm to jest nietyle *przyczyną* złego, ile jego *skutek i objaw.*

Zaatakujmy *przyczynę:* usuńmy niedomagania wewnętrzne. To właśnie będzie najskuteczniejsza, najpewniejsza walka z tym objawem choroby, jaki stanowi ferment komunistyczny.

Tymczasem w praktyce spotykamy się nierzadko z *metodą* działania *wręcz odwrotną.* Gdziekolwiek usiłuje się zwalczać te zasadnicze, głęboko w organizmie społecznym drążące niedomagania, społeczne, ekonomiczne, polityczne, kulturalne, tam wnet wyskakują jacyś gorliwcy i wołają w niebogłosy: To bolszewizm, to masonerja! W ten sposób w rozgoryczonych, znękanych a bezkrytycznych masach wytwarza się zwolna przekonanie, że jedynymi ich orędownikami są komuniści, że jeśli kto protestuje przeciw krzywdzie, uciskowi, obskurantyzmowi, niedoli ludzkiej — to tylko komuniści. Komuniści wyrastają w tem oświetleniu na jedynych szermierzy wolności, sprawiedliwości i szczęścia ludu, — choć wiemy doskonale, jak ta „wolność, sprawiedliwość i szczęście" przedstawia się w rzeczywistości w — Sowietach. My wiemy, ale nie wiedzą o tem masy ludowe, które też w łatwowierności swej łatwo mogą paść ofiarą smutnych skutków tej fatalnej metody.

Komuniści już umieją ją wyzyskiwać na korzyść własną.

P. Tadeusz Kiełpiński, korespondent „Polonji", który dłuższy czas spędził niedawno w Hiszpanji, opowiada fakt następujący (cytujemy dosłownie):

„W czasie mego pobytu w Hiszpanji widziałem broszurę, wydaną *rzekomo* przez Towarzystwo Walki z Komunizmem... Autor oskarżał szereg stronnictw i osób o sympatje moskiewskie. Niemal każdą zdobycz społeczną przedstawiał, jako „wynik agitacji komunistycznej", i wzywał do najzawziętszej walki z bolszewizmem, „który niszczy tradycje Hiszpanji". Otóż broszura ta, z *herbem narodowym i z emblematami religijnemi* na okładce, *została wydana w centrali komunistycznej pod Alicante w ilości 100.000 egzemplarzy i rozrzucona w Asturji, bezpośrednio przed wybuchem rewolucji, w październiku 1934.* Musiała oddać duże usługi, gdyż Komitet Rewolucyjny w Oviedo prosił o dalsze transporty".

To jest przykład. I to jest przestroga.

I. P.

MUZYKA

J. BONIECKA.

Wielki Muzyk

Minął znów jeden rok życia wielkiego Polaka i wielkiego Muzyka. Przed kilku dniami Ignacy Jan Paderewski obchodził rocznicę swych urodzin.

Nie trzeba nam rocznic, uroczystości, akademji i obchodów na to, aby rozpamiętywać wielkie dzieło Jego życia. Wprost przeciwnie: zbyt często zdarza się, że te szumne słowa stają się pustą, hałaśliwą, a pozbawioną treści formą, aby w kontraście z niemi owe ciche, samowtór z własnem sercem odbywane „rekolekcje" o Paderewskim nie nabierały cech raczej jakiegoś cennego przywileju. Myślimy wówczas także i o tem, że muzyka nie jest treścią życia Mistrza z Morges, że nie jest i nie była dlań sprawą najważniejszą i jedyną. „La patrie avant tout, l'art ensuite" — oto własne słowa Paderewskiego. „Jest to geniusz, który przypadkowo jednocześnie gra na fortepianie" — powiedział o Nim Saint-Saëns. W tem pomniejszaniu, czy też może tylko usuwaniu na plan drugi muzyki, a więc tej części swego dzieła, w której Paderewski osiągnął szczyt tego, co kiedykolwiek wirtuozowi - artyście osiągnąć się dało — leży może najlepsza wskazówka do charakterystyki Mistrza. Działalność Paderewskiego — Muzyka i Paderewskiego—Patrjoty zazębia się zresztą o siebie tak ściśle, że niepodobna ich często od siebie oddzielić. Jak naprzykład nie wspomnieć o dobrze wszystkim znanym, a bezprzykładnym w dziejach odtwórczości muzycznej fakcie dobrowolnej, choć czasowej abdykacji Paderewskiego z zaszczytnego stanowiska „króla pianistów" i pójścia w służbę Ojczyźnie?

Mówiąc o Paderewskim — Muzyku — co ze spraw, o których możnaby pisać dzieła, włączyć w szczupłą ramę tych kilkunastu wierszy? O czem mówić, co nie byłoby dobrze znane mieszkańcom obu półkul, a istotnie ważnem dla osoby człowieka, wokół którego utworzyła się już legenda? Wiemy wszyscy o wspaniałej działalności Paderewskiego jako muzyka - odtwórcy, pamiętamy o tem, że wśród licznej plejady pianistów świata dzierży On po dziś dzień niezaprzeczone berło pierwszeństwa. Wiemy o czci, jaką otaczają Paderewskiego wszyscy muzycy świata, o entuzjazmie, jaki budzą jego koncerty. Ale czy pamiętamy o tem, że w ogromnej większości tych koncertów potrafił Paderewski osiągnąć dwa wspaniałe dzieła: rozdawać piękno sztuki i, jakby tego było jeszcze zamało, szerzyć dobro? Myślimy tu o niezliczonej ilości dobroczynnych koncertów Mistrza, wspomagających ubogie kasy instytucyj filantropijnych całego świata, o sumach, które bezpośrednio z jego hojnej ręki płynęły ku tym, którzy tej pomocy potrzebowali.

Mniej może znana jest szerokiemu ogółowi działalność Paderewskiego, jako kompozytora. Jego twórczość muzyczna, bogata treścią, choć szczupła rozmiarami (obejmuje bowiem zaledwie 24 opusy), uznana jest, tak, jak i Jego talent odtwórczy, przez cały świat. Prapremiery dwu monumentalnych dzieł Paderewskiego odbyły się poza granicami Polski. Tak więc operę „Manru" wystawiła przed innemi teatrami Królestwa Opera w Dreźnie, w kilka dni potem ukazała się „Manru" we Lwowie, ale przed premierą warszawską (maj 1902) wystawiły jeszcze operę Paderewskiego teatry Ameryki Północnej. Symfonję h-moll wykonano po raz pierwszy w Bostonie, potem w Londynie i Paryżu, a dopiero w dwa lata później — we Lwowie. Utwory fortepianowe Paderewskiego z koncertem a-moll i „Fantazją Polską" na czele grane są na wszystkich estradach świata. Olbrzymią większość zarówno wyżej wspomnianych kompozycyj, jak i tak bardzo popularnych pieśni Paderewskiego cechuje ukryta w nich nuta polskości, począwszy od młodzieńczych „Tańców Polskich" i „Albumu Tatrzańskiego", poprzez wymienioną wyżej „Fantazję Polską", aż po ostatnie Jego dzieło, ową symfonję h-moll, w której finale rozbrzmiewają stylizowane fragmenty „Mazurka Dąbrowskiego".

Od wielu już lat milczy Paderewski - twórca. Wierzymy jednak, że przyjdzie chwila, kiedy znów do nas przemówi. Jest jeszcze druga sprawa, w którą wiary stracić nie chcemy. Oto nam, powojennemu pokoleniu muzyków polskich nie było danem nigdy usłyszeć gry Paderewskiego. Czekamy jednak ciągle cierpliwie, przez długie, szybko biegnące lata, znaczone listopadowemi rocznicami Jego urodzin. I ciągle wierzymy, że jeszcze los pozwoli nam go usłyszeć — choć może jest to wiara contra spem...

Przegląd Prasy Krajowej

BUŁAWA.

Wysokie odznaczenie Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych wywołało szereg komentarzy w pismach wszelkich odcieni. Na genezę samego faktu rzuca w *„Ilustrowanym Kurjerze Krakowskim”* nieco światła znany historyk sztuki ks. dr. Kruszyński, do którego w swoim czasie zwrócono się z kół oficjalnych w sprawie kompozycji buławy:

„Myśl mianowania marszałkiem Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych powziął sam p. Prezydent Rzeczypospolitej jeszcze na wiosnę, a początkowo buławę chciał mu wręczyć w rocznicę wyruszenia pierwszej kadrówki z krakowskich Oleandrów dn. 6 sierpnia; ostatecznie jednak na życzenie samego nowego marszałka termin przesunięto na święto Niepodległości”.

Z przeróżnych artykułów wybieramy kilka skrajnych, Więc np. realni przemysłowcy chcą akt nominacyjny skonkretyzować w życiu. Ich rzecznikiem jest *Depesza:*

„Epoka dzisiejsza stworzyła w dziedzinie państwowo - organizacyjnej nowe zjawisko: podniosła niezwykle wysoko stanowisko szefa obrony krajowej. Dziś... szef obronnych sił narodu, szef polityki zagranicznej i szef wszystkich spraw krajowych — premjer — stanowią trójcę równorzędną z prymatem konstytucyjnym premjer inter pares, i ta trójca jest właściwym Rządem, który rządzi. Inni członkowie gabinetu są władzą wykonawczą”.

Nieco ryzykowne to rozumowanie nasuwa pewne wątpliwości właśnie pod względem realnej zgody z rzeczywistością. Przeciwstawić mu można teoretyczne rozważania *„Buntu Młodych”:*

Dotychczasowa działalność polityczna Marszałka Rydza-Śmigłego nie pozwala na ustalenie przewidywań co do cech jego charakteru, mogących w tym lub innym sensie wpłynąć na bieg wydarzeń.

Mamy tu do czynienia z pewną formą monarchji... w typie rzymskim... (gdzie) dziedziczenie zastępuje desygnacja. Swoiście polską cechą jest współistnienie z tą monarchią dawnej republiki, teoretyczne i praktyczne pozostawanie w mocy konstytucji“.

Z dobrej sposobności korzysta *„Gazeta Grudziądzka”*, by w artykule p t. „Frazeologja o rządach dusz“ obdarzyć czytelnika szeregiem szczytnych myśli, dostosowanych do ogólnej, dobrze znanej polskiej rzeczywistości:

„Skonsolidowanie narodu jest potrzebą życiową. Wymagają tego nasze trudności wewnętrzne i niebezpieczeństwa, grożące nam z zewnątrz. Ale skonsolidowanie tego dokonać mogą tylko *wielkie idee.* Potęgę państwa opierali ojcowie nasi na zasadach sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej i prawa uważali za najsilniejszy jej fundament. *Tylko człowiek wolny zrozumie, co to jest ojczyzna i państwo.* Podstawową wartością w życiu państwowym i narodowym jest poszanowanie osobowości i godności człowieka, respektowanie jego nienaruszalnych praw przyrodzonych“.

Przyprowadza wszystkich do porządku *„Słowo Pomorskie”*, które załatwia się z komentarzami krótko i węzłowato:

„Są ludzie, którzyby chcieli nominację tę tłumaczyć sobie innemi względami, mianowicie partyjno-politycznemi. Uciął te fałszywe mniemania gen. Żeligowski, mówiąc: „Albo żołnierz, albo polityk”. Żołnierz politykujący rychło demaskuje się, jako słaby dowódca”.

Silnie i rzeczowo zamyka tę zawiłą dyskusję *„Wieczór Warszawski”:*

„Marszałek Śmigły-Rydz stwierdził „głębokie współżycie, łączące społeczeństwo z armją” i wytknął przez to kierunek rozwoju naszego życia politycznego w przyszłości. I to jest wszystko. Przy nastaranniejszym zbadaniu nie znajdujemy podstawy faktycznej do tych wniosków, jakie prasa i kierowana przez nią opinja publiczna nagromadziła dokoła buławy”.

KUMULACJE.

Kumulacje — oczywiście — posad. Niedawno pisała o nich prasa krakowska w związku z osobą prezesa tamtejszego związku legjonistów. Obecnie podobna sprawa wypłynęła w Toruniu. Pisze o niej *„Obrona Ludu”:*

„Komisarzem Ubezpieczalni Społecznej w Toruniu został p. Tadeusz Schab ...(który) był sekretarzem wojewódzkim na Pomorze w osławionej pamięci B. B. W. R., a po jego zlikwidowaniu objął stanowisko redaktora naczelnego „Dnia Pomorza”, pisma, które sam zorganizował w miejscu zlikwidowanego „Dnia Pomorskiego”. Przed dwoma miesiącami p. Schab został notarjuszem w Toruniu; w tym celu rozporządzeniem p. ministra sprawiedliwości utworzono nowe, czwarte stanowisko notarjusza w Toruniu”.

Dodaje do tej wiadomości *„Dziennik Popularny”:*

„Skandal polega na tem, że „Dzień Pomorski”, który kosztował 300 000 zł. pożyczki z Województwa, zalegał w Ubezpieczalni Społecznej na sumę z górą 120.000 zł. składek ubezpieczeniowych. Sumę tę wkrótce po bankructwie umorzono. P. Schab, który opiekował się starym „Dniem”, został komisarzem tej samej ubezpieczalni...”

...ażeby rozstrzygnąć sprawę p. Sachaba...

JESZCZE BIUROKRACJA.

Oddajemy głos *„Gazecie Polskiej”:*

„Jak społeczeństwo ma wiedzieć coś o marynarce wojennej, jeżeli — jak słychać — nie „wypada” w artykułach dziennikarskich nawet... wymieniać nazw okrętów wojennych Rzeczypospolitej? Jeżeli nawet tak skromny dorobek na tem polu jak nasz — ma być owiany tajemnicą i mgłą silniejszą, niż mgła atlantycka, mgłą... cenzury.

Tym, co układali i mają zamiar stosować nowe przepisy o cenzurze, powinno być chyba wiadome, że *popularne* wydawnictwa zagraniczne zawierają ścisłe dane o jednostkach również i.. polskiej floty wojennej...

Przeciętny dziennikarz nic „nowego” o naszych okrętach nie napisze. Więc pocóż te utrudnienia? Po co mówić o „propagandzie” floty wojennej. kiedy obywatelowi nie wolno wiedzieć, nawet, jak... nazywają się okręty?”

Uzupełnia jedno z pism krakowskich:

„Nie wolno np. wymieniać w prasie w wiadomościach o wojsku numerów tych, czy innych pułków, nazw okrętów i t. d. Sądzimy, że nie są to rzeczy istotne. Właściwą tajemnicę stanowi ilość i jakość, a nie numer czy nazwa sił, zgromadzonych w danym punkcie w okresie działań wojennych.

Inaczej zupełnie są traktowane te rzeczy za granicą. W Niemczech czy we Francji są wydawane całe atlasy z pięknemi grafikonami, dokładnie omawiające rozmieszczenie poszczególnych okrętów, formacyj wojskowych, jednostek floty powietrznej etc. etc. na stopie pokojowej...”

Interpretuje *„Głos Lubelski”:*

„Przypuśćmy więc, że odbywa się publiczny konkurs 3 orkiestr pułkowych. Zaprasza się prasę. Sprawozdanie powinno więc mieć wygląd chyba taki: Pierwszą nagrodę otrzymała orkiestra A pod dyrekcją kapelmistrza X, drugą — orkiestra B, kapelmistrz Y, trzecią — orkiestra C, kapelmistrz Z.“

APOTEOZA KONSTYTUCJI.

Zajmuje się nią gorliwie *„Dziennik Poznański”:*

„Poprzez wszystkie zmiany treści naszego życia państwowego, poprzez wszystkie przemiany światopoglądowe, jakie przechodził i przeżywa świat, krystalizowaliśmy polską deklarację konstytucyjną z 1935 roku... Jest harmonijną realizacją idei solidaryzmu...”

To wszystko z powodu zjazdu prawników w Katowicach, na którym prof. Peretjatkowicz

„zwrócił uwagę, że nasza nowa konstytucja odbiegła od indywidualistycznych założeń deklaracji rewolucji francuskiej, że nie mieści się w filozofji Kanta, ale równocześnie nie zasklepia się na przeciwstawnym biegunie filozofji Hegla i nie ma nic wspólnego z istotą państwa totalnego. Jej niesłychanie trafna analiza rektora poznańskiego uniwersytetu prof. Peretjatkowicza dała głęboko filozoficzny wgląd w jej istotę”.

Bardzo to pięknie wyszło — de gustibus non est disputandum i szanujemy cudze przekonania. A swoją drogą dziwnie się składa, że ten hymn pochwalny na cześć prof. Peretjatkowicza śpiewa właśnie „Dziennik Poznański”, którego prof. Peretjatkowicz jest współwłaścicielem...

ROZPACZLIWE CYFRY.

W recenzji pracy p. Tadeusza Rasimowicza p. t. „Szkice o węglu”, umieszczonej w *„Czasie”*, znajdujemy ustęp następujący:

„Przemysł węglowy znajduje się na równi pochyłej, wykazuje w ciągu lat 1929 — 1935 *stratę* około 325 miljonów złotych, konsumcja na głowę ludności spadła w okresie 1929 — 1935 w stosunku 100 do 51; nie należy tego kłaść na karb czynników, występujących w analogicznych procesach w szeregu innych państw, bo w Polsce, w kraju średnio uprzemysłowionym, o słabo rozbudowanej elektryfikacji, o znikomej produkcji węgla brunatnego oraz nikłej konkurencji sił wodnych i olejów mineralnych — czynniki te nie wpływają prawie na kształtowanie się konsumcji węgla”.

Z innego zakresu, a niemniej znamienne i zatrważające cyfry przytacza *„Gazeta Gdyńska”:*

„Gdy ubytek ludności niemieckiej dla województw śląskiego, pomorskiego i poznańskiego dochodzi przeciętnie do 8%, to spadek posiadania niemieckiej nieruchomości gruntowej waha się około 30%. Istnieją takie dysproporcje w niektórych powiatach, że odsetek ludności niemieckiej nie przekracza 10%, a 50% ziemi ornej w powiecie jest w jej ręku.

Społeczeństwo polskie ziem zachodnich bez wysiłku zlikwiduje te przerosty, nie trzeba jednak piętrzyć przed niem trudności, lecz drogą prawną stwarzać objektywny stan rzeczy w miejsce uprzywilejowania, którem cieszą się Niemcy wskutek pozostawienia spraw swemu losowi”.

A. W.

Książki nadesłane

Tadeusz Rasimowicz. Szkice o węglu. Warszawa 1936. Księg. Prabuckiego i Płochy.

Autor poddaje krytyce stosunek rządów autorytatywnych do górnictwa węglowego, w szczególności w okresie, gdy ministrem przemysłu i handlu był płk. Floyar - Rajchman, oraz postawę przemysłowców wobec zagadnień chwili. Ponieważ autor nie unika społecznego i nawet politycznego podejścia do analizowanych zagadnień, broszura ta wzbudzi niewątpliwie szersze zainteresowanie.

Stanisław Łakomski. Z przeżyć i doświadczeń robotnika polskiego w Z. S. S. R. 1937. Nakładem Fundacji Dom Ludowy „Wisła“ w Krakowie. Z przedmową Stanisława Thugutta.

„To, co nam daje p. Łakomski, jest odbiciem głębi życia (Sowietów), w którem pracował i którego był cząstką... Jego książka wywołała zapewne wiele sprzeciwów... Ale że pomnaża wiedzę naszą o gigantycznym eksperymencie prawdą z pierwszej ręki czerpaną, jest — jak sądzę — cennym nabytkiem w naszej literaturze“. (z przedmowy).

OD ADMINISTRACJI.

Upraszamy wszystkich prenumeratorów i odbiorców komisyjnych Odnowy o pośpieszne zawiadomienie administracji w razie nieodebrania numeru.

Z prasy Zagranicznej

Wizyta ministra Becka w Londynie odbiła się szerokiem echem po europejskiej prasie. Większość artykułów — przedewszystkiem w prasie angielskiej — nosiła piętno nie wiele mówiącej kurtuazji. Typ — *„Manchester Guardian:*

„Wizyta Ministra Becka w Londynie przyczyniła się do zacieśnienia przyjaznych stosunków pomiędzy Polską a Wielką Brytanją. Szczery sposób prowadzenia rozmów na temat ogólnej sytuacji europejskiej dowodzi, że w kierownictwie polskiej polityki zagranicznej dominuje realizm..."

Trafiają się i zgrzyty — w prasie francuskiej. Nasz minister nie ma szczęścia do tamtejszej lewicy. Przed dwoma miesiącami *La Revue Parlementaire* cisnęła weń stekiem obelg, obecnie wysoce nieżyczliwe stanowisko zajmuje *L'Humanité:*

„Nie zapominajmy, że cel wizyty ministra Becka w Londynie jest w najwyższym stopniu podejrzany. Plan, którego tłumaczem czyni się płk. Beck, został wypracowany w Berlinie. Chodzi w rzeczywistości, przy okazji konferencji lokarneńskiej, o odosobnienie Francji. Dlaczego zatem w Paryżu zamyka się oczy na te sprawy, co więcej, życzy się jeszcze powodzenia i dobrych wyników polskiemu pomocnikowi niemieckiego kanclerza-Führera?"

Są też śmiesznostki — komplementy tak płaskie, że ośmieszające, zwłaszcza, że je głosi sama sobie — ministrowa. Wielki dziennik *„Daily Mail"* powitał ją artykułem o wielkim tytule: „Najbardziej elegancka kobieta w Polsce". Wynikiem tego był wywiad, w którym pani ministrowa przedstawia się, jako osoba niezwykłej skromności:

„Anglikom może wydaje się, że Polki to wieśniaczki. Dziwią się więc, gdy widzą Polkę dobrze ubraną i uważają ją zaraz za „gwiazdę". Tak jednak nie jest. Oczywiście, lubię stroje, ale noszę wyroby tylko krajowej produkcji, przeważnie niewełniane z niewielką domieszką jedwabiu. Dziennikarz zauważył brak drogocennej biżuterji.—Nie mogę sobie pozwolić na platynę i brylanty — wyjaśniła pani ministrowa".

A cóż mówią Czesi?

Nastroje czeskie syntetyzuje *„Le Temps":*

„Koła dyplomatyczne praskie widzą w wizycie ministra Becka zapewnienie, że w razie nowego Lokarna zachodniego wschód europejski nie będzie zapomniany i że podobnie jak w r. 1925 Polska i Czechosłowacja będą miały zapewnioną wystarczającą gwarancję. To skierowanie uwagi angielskiej na Polskę i wschód Europy jest tem cenniejsze, że stanowi rodzaj przeciwwagi dynamice niemieckiej, przeciwwagi, opartej na Warszawie bez odrzucenia Sowietów poza koncert europejski. Ta ewolucja zgadza się w zupełności z tradycyjną polityką Paryża i Pragi".

Niemcy wykazują zaniepokojenie. Ambasada w Londynie posunęła się do pewnego rodzaju oficjalnego wystąpienia, o czem nas informuje *„Journal des Débats":*

„Ostatnia „démarche" radcy ambasady niemieckiej w Londynie miała na celu wysondować znaczenie i ścisłe brzmienie dwóch głównych punktów komunikatu, ogłoszonego po ukończeniu rozmów ministra Becka. Ambasadzie zależało na wywiedzeniu się, czy możnaby się tu dopatrywać oznak łączności między paktem zachodnim, a systemem wschodnim, względnie czy zapewnienia dane płk. Beckowi mogłyby wpłynąć w jakikolwiek sposób na modyfikację zamierzeń nowego paktu. Radca ambasady miał otrzymać odpowiedź, że te zapewnienia świadczą jedynie o życzeniu angielskiem, by nowe porozumienie utrzymało charakter Locarna, które nie wnosiło żadnych zamachów na zobowiązania już istniejące. Przypominano przy tej sposobności, że Wielka Brytanja życzy sobie przedewszystkiem utrzymania tych wszystkich klauzul, które wiążą Locarno z paktem Ligi Narodów; wreszcie Wielka Brytanja pozostaje wierną tezie, według której nawiązanie i zawarcie porozumienia zachodniego nie oznacza rezygnacji z uregulowania zagadnień Europy wschodniej".

*

Głośnem w prasie wydarzeniem politycznem stała się konferencja wiedeńska. W ocenie pozytywnej prym trzymają pisma włoskie. *„Tribuna"* pisze:

„Istniała w Europie strefa najsilniejszych starć interesów przeciwstawnych: to strefa naddunajska. Obecnie, dzięki porozumieniu włosko-niemiecko-naddunajskiemu, w strefie tej zapanowało uspokojenie. Włosi mają pewność, że pracowali dla pokoju europejskiego".

Przeciw rzekomo zbyt daleko idącym wnioskom natury mocarstwowo-politycznej zastrzega się *„Corriere della Sera":*

„To nie blok państw — to tylko porozumienie, jeszcze jedno porozumienie Włoch z Austrją i Węgrami. Dotyczy ono pewnej serji zagadnień, które wprawdzie interesują bezpośrednio i wyłącznie te trzy kraje, jednak nie mogą nie oddziaływać na sytuację na terenie ogólnym. Ale nie blok — tylko pełne i serdeczne porozumienie".

Równie optymistycznie ocenia nową sytuację *„Journal de Genève":*

„Nie będzie już można mówić de facto o „nieuleczalnej" rozbieżności włosko-niemieckiej na punkcie Austrji, ponieważ oba rządy postanowiły traktować problemy naddunajskie na podstawie przyjaznej współpracy".

Prasa francuska zachowuje się z rezerwą, ale podkreśla, że akcji porozumienia Rzymu z Berlinem i wynikających stąd w konsekwencji dalszych układów nie należy lekceważyć. *„Ère Nouvelle"* pisze:

„Konferencja wiedeńska jest dalszym ciągiem akcji, zainaugurowanej przez Włochy i Niemcy, do której to akcji wciąga się obecnie Austrję i Węgry.

Niektórym politykom francuskim się wydawało, że należałoby dążyć do celowego pomniejszania ważności rokowań w Berlinie i Wiedniu. Komunikat oficjalny, przeciwnie, wykazuje ważność, więcej, doniosłość umów, zawartych w tych dwóch stolicach. Najgorszym błędem byłoby trwać przy lekceważeniu tego faktu, tembardziej, że nie wiemy wszystkiego i że wyniki rozmów zostały wprawdzie ujęte w protokół — o czem donosi komunikat — ale ten protokół pozostał tajny".

Ze wzmianki komunikatu o protokóle sekretnym wyciąga *„Deutsche Allgemeine Zeitung"* wniosek następujący:

„Przypuszczalnie zawarto układ co do przyjęcia nowych współuczestników do pracy naddunajskiej — w pierwszym rzędzie Rzeszy Niemieckiej".

„Völkischer Beobachter" wyciąga konsekwencję:

„Wskazówką przyszłej orjentacji, opartej na realnej polityce, będzie ogłoszenie węgierskich rewindykacyj na polu dozbrojenia.

Nie zajęto jednak na konferencji stanowiska względem bolszewizmu, pomimo, że problemat ten był poruszany w dyskusji; niema również wzmianki o stosunku do Ligi Narodów".

Sukces Mussoliniego przyznaje *„Temps":*

„Nie możemy nie przyznać, że Mussolini poczynił wszelkie możliwe wysiłki, aby się przeciwstawić hegemonji niemieckiej w sercu Europy. Możnaby wyprowadzić wniosek, że najważniejszym wynikiem konferencji wiedeńskiej jest zharmonizowanie — więcej, zjednoczenie, zidentyfikowanie protokółu rzymskiego z ugodą austro-niemiecką".

*

Wypróbowany, tylokrotnie uwieńczony powodzeniem system niemiecki zaskakiwania opinji europejskiej znowu się przejawił w sprawie pozornie drugorzędnej politycznie, ale o dużem znaczeniu moralnem. W ubiegłą sobotę rząd niemiecki wypowiedział jednostronnie klauzule traktatu wersalskiego, dotyczące żeglugi rzecznej. Chodzi o umiędzynarodowienie spławu na Dunaju, Elbie, Niemnie, Odrze i Renie. Reakcja zapowiada się słabo. Pisze *„Gazette de Toulouse":*

„Rząd francuski nie wystąpi z samodzielnym protestem dyplomatycznym. Nie jest wykluczony natomiast zbiorowy protest w Berlinie państw zainteresowanych wraz z Francją. Wszelką akcję dyplomatyczną w tym względzie traktuje się jednak raczej formalnie i nie przywiązuje się do niej żadnych nadziei co do jakichś konkretnych rezultatów.

Tłumaczy to stanowisko *„Petit Parisien":*

„O ile chodzi o doniosłość, to polityczne znaczenie nowego kroku niemieckiego nie może być porównywane z poprzedniemi identycznemi posunięciami rządu niemieckiego. W każdym razie wynika ono z lekceważenia zobowiązań międzynarodowych".

Samą metodą atakuje *„Le Figaro":*

„Jeszcze raz wolała Trzecia Rzesza wybrać metodę brutalną wypowiedzenia jednostronnego istniejących zobowiązań".

„Sunday Times" podkreśla fakt zaskoczenia opinji:

„Jedynie kwestją czasu jest, by Europa pewnej soboty dowiedziała się, że w Gdańsku i w Kłajpedzie sytuacja zmieniła się wskutek akcji jednostronnej i niezgodnej z prawem międzynarodowem".

Sunday Times, przytaczając przykład Gdańska, zdaje sobie widocznie sprawę ze stałego i konsekwentnego urabiania opinji światowej o sprawach Wolnego Miasta przez dzienniki niemieckie Roi się w nich od „niewinnych" wzmianek. Taką np. podaje *„Angriff":*

„Dotychczas ludność gdańska dawała dowody żelaznej karności wobec wszelkich prowokacyj ze strony polskiej. Ale w interesie znośnych, normalnych stosunków jest się w prawie wymagać od mniejszości polskiej, aby zaprzestała prowokacyj i unikała incydentów".

Ileż pism na świecie bierze te słowa za dobrą monetę!...

*

Jak wiadomo, w najbliższych dniach przybywa do Warszawy rumuński minister spraw zagranicznych Antonescu. O tematach, na jakie toczyć się będą rozmowy obu kierowników polityki zagranicznej, specyficzne poglądy roztacza *L'Oeuvre:*

„Według naszych informacyj rozmowy między p. Beckiem a p. Antonescu w ciągu przyszłego tygodnia o Rosji będą bardzo nieprzyjemne. Minister Beck chciałby namówić pana Antonescu na zaproponowanie Sowietom paktu nieagresji. Cel jest ten, że taka propozycja rumuńska spotkałaby się z mało sympatyczną reakcją Sowietów, które są zresztą z Bukaresztem daleko silniej, niż paktem nieagresji, związane. Cóż więc p. Beck chce osiągnąć? Oto odruch złego humoru w Moskwie, na który Rumunja mogłaby zareagować ogłoszeniem neutralności, co jest równoznaczne z zaryglowaniem ostatnich drzwi, jakie Sowietom stoją jeszcze do Europy otworem".

Azet.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr. 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1.50; zagranicą zł. 2.— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; 1/2 str. — zł. 125.—; 1/4 str. — zł. 75.—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. **WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KIWA", SP. Z OGR. ODP.**

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Nowy-Świat 54. Tel.: 615-56 i 242-40.